NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu : **3,800.000** Mkp. — **Zagranicą** podwójnie. — **W Ameryce** rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 15 groszy — cała kolumna Złp. 200·— pół kolumny Złp. 100·— 1/4 kolumny Złp. 55·— 1/8 kolumny Złp. 30·— 1/16 kolumny Złp. 20·—. W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 40 groszy — cała kolumna Złp. 300·— 1/2 kolumny Złp. 160·— 1/4 kolumny Złp. 75·— 1/8 kolumny Złp. 40·— 1/16 kolumny Złp. 25·—. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 15 gr. za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie.

Wychodzi każdej soboty.

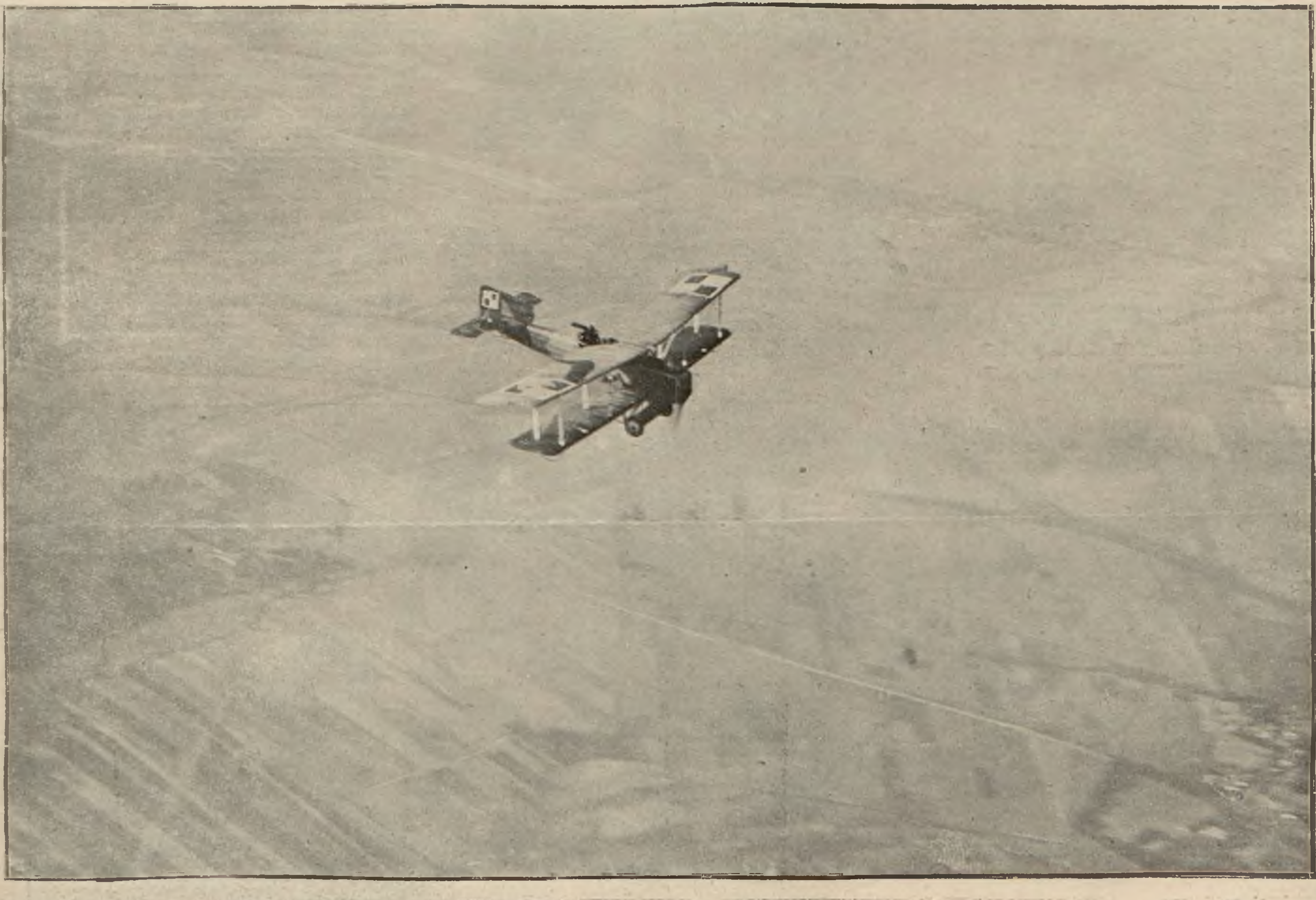
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). **Telefon Nr. 479.**

Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

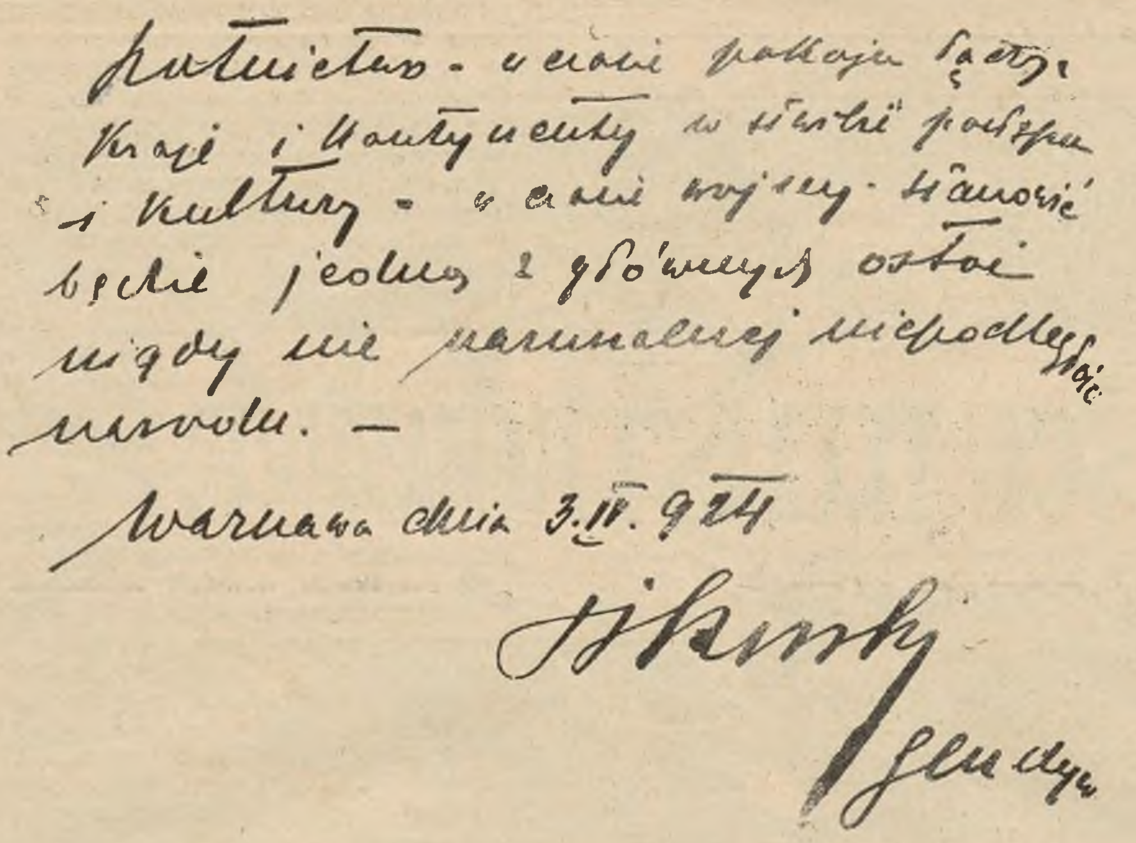
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,000.000 Marek**

Rok XXI. Kraków, 3 maja 1924. Nr. 18.

O polską flotę powietrzną



Aeroplan bojowy polski nad pozycjami bolszewickiemi w czasie wojny. Zdjęcie wykonane przez obserwato.a z drugiego aeoroplanu, unoszącego się wyżej.


Lotnictwo - w czasie pokoju łączy kraj i kontynenty w służbie postępu i kultury - w czasie wojny stanowić będzie jedną z głównych ostoi nigdy nie naruszalnej niepodległości narodu. —
Warszawa dnia 3.IV.924
Sikorski
gen. dyw.

Przygotowując numer lotniczy, poświęcony sprawie obrony powietrznej państwa, Redakcja „Nowości Illustrowanych" zwróciła się do najwybitniejszych, kierowniczych mężów w Polsce, z prośbą o okazanie poparcia naszemu zamiarowi i udzielenie pismu naszemu opinji lub aforyzmów w sprawie znaczenia lotnictwa dla przyszłości Rzeczpospolitej. Zdanie bowiem tych, którzy sterują nawą Rzeczypospolitej, musi mieć większe znaczenie i może większy nawet osiągnąć skutek, niż artykuł publicystyczny. W odpowiedzi na to otrzymaliśmy opinje i aforyzmy p. ministra wojny gen. Władysława Sikorskiego, p. szefa sztabu generalnego gen. Stanisława Hallera, szefa departamentu lotniczego gen. Leveque, oraz marszałka Senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego, którym uważamy za swój obowiązek wyrazić serdeczne podziękowanie za tak łaskawie udzielone poparcie naszym zamiarom.

Opinje i aforyzmy te podajemy w numerze w reprodukcji fotograficznej. Jedynie autografu marsz. Trąmpczyńskiego nie mogliśmy ze względów technicznych podać w tej samej formie.

TRZECI MAJ

Oto powrócił nam trzeci maj!
O wiosno, wiosno!
Na wschód i zachód — na tysiąc stai
Z ruin i nędzy wstaje nasz kraj.
Sny zmarłe żyją — rosną!

Zwycięską sławą miecz polski lśni
Jako przed laty,
W rycerskiej walce obmyty z rdzy.
I lot swój zwraca w słoneczne dni
Orzeł skrzydlaty.

I oto przyszłość wielka dziś przed nami stawa
I woła: — Jestem: — ważcie się na wielkie losy!
Ważcie się po potęgę sięgnąć Bolesława
I Jagiellonów gmach znów dźwignąć pod niebiosy.
Niech Rzeczypospolitej odzyskana nawa
Rozwinie znów banderę potęgi na maszcie.
Tylko się ważcie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Więc my? —
— Obywatele!
Z małością ducha precz!
Oto Pospolita Rzecz
Wraz z nami wkracza w nową dziejów erę
Nową rozwija banderę,
Dumnie wiejącą na pomyślnym wichrze,
Swych bogactw dawne odbuduje spichrze,
Będzie dla synów Matką - Karmicielką
I będzie Wielką!
Powróci Trzeci Maj —
na zawsze!

— — — — — — — — — — — — — — —

Obywatele!
— Oto gdy nieba dziś dla nas łaskawsze
Nowe nam rozwierają bytu widnokręgi,
Kiedy nam otwierają wrota do potęgi,
W tym dniu wiosennym
W tym dniu, który jest dla nas narodowem świętem,
Pomnijmy o tym wolnych ojców naszych dziele
Wielkiem, w ostatniej toni przedsięwziętem,
Które jest — dawnej Polski testamentem.
Czy pamiętacie?
Czy pamiętacie owe wielkie hasła
Przez które Sejm Czteroletni
I Rzeczypospolitej wielkość, zanim zgasła,
Zabłysła dumnie i do dziś się świetni?
Te słowa: — Skarb i Armja!
— To wołanie,
Które i dzisiaj nam za hasło stanie.
Armja i Skarb!
— Rodacy!
To wołają ojców naszych kości,
To hasło naszej przyszłości,
To hasło naszej pracy!
To sztandar nasz — Polacy!
A odzew? — Trzeci maj!
Bo trzeci maj
To hasło rzucił,
I z hasłem tem
Dziś do nas wrócił —
Powrócił Trzeci Maj!
Nasz nowy maj
— na zawsze!



Pierwsze próby stworzenia przemysłu lotniczego w Polsce.

Naczelnik Państwa, śledzi na lotnisku w Warszawie wzlot pierwszego zbudowanego w Polsce samolotu typu niemieckiego „Roland".

Zdjęcie dokonane było na kilka minut przed katastrofą w dniu 23 sierpnia 1919 roku. Ś. p. por.-pilot Kazimierz Jesionowski z por.-inż. Karolem Słowikiem, który jako konstruktor samolotu poleciał w charakterze pasażera, w oczach marszałka Piłsudskiego legli poszarpani na strzępy pod szczątkami aparatu.

Hasło na 3-ci maja.

Zarzucają nam Polakom i odrodzonej Polsce, że zbyt wiele czasu i energji poświęcamy świętowaniu i uroczystościom, że zbyt długo cieszymy się naszą niepodległością. Zarzut ten, który czynią nam zresztą nasi przyjaciele nawet, o tyle jest słuszny, że naszym uroczystościom i naszym obchodom, polskim świętom narodowym nie staramy się nadać głębszego podłoża i charakteru, że wspominając w uroczysty sposób o przeszłości nie zastanawiamy się równocześnie w sposób poważny nad przyszłością naszą, nad tem, by wymarzonego przez tyle pokoleń nieszczęsnych *niepodległego bytu* w sposób lekkomyślny nie narazić na szwank, co gorzej może na częściową choćby utratę.

Obchodząc bardzo uroczyście i solennie, święto „Cudu nad Wisłą" czy też rocznicy styczniowej czy listopadowej nie zastanawiamy się nad tem czy w razie potrzeby potrafimy nowy cud stworzyć, czy armja nasza podoła nowym wymaganiom technicznym wojny, czy ma odpowiednie zasoby i środki; troskę o to zostawiamy wyłącznie chyba rządowi (w sejm to już nikt bardzo nie wierzy) nie staramy się o tem wogóle myśleć dlatego zapewne, że z góry jesteśmy przekonani o braku odpowiednich środków. — I tak bywa ze wszystkiem, z każdym świętem czy uroczystością; – nabożeństwo, defilada ewent. kwiatek czy znaczek, obiadek czy raut – w kółko, do znudzenia.

Szopka narodowa - jak twierdzą zawodowi śledziennicy i pesymiści.

Tak być jednak nie musi.

Każdej takiej uroczystości można nadać głębszy charakter z wyraźną myślą o przyszłości i będzie to zapewne najmilszy hołd dla tych, których pamięć uczcić pragniemy a zarazem najlepszym dowodem, że nie tylko „cieszymy



Walka w przestworzach. Obraz z czasów wojny minionej: aeroplany niemiecki i rosyjski walczą z sobą, ostrzeliwując się wzajem z karabinów maszynowych. Zdjęcie dokonane z trzeciego aeroplanu.

Dawniej przysięgi wojskowe mówiły o wierności sztandarom na lądzie i na morzu. Dziś przybyła nowa dziedzina — powietrze.

Zgodnie z wymaganiami wojny współczesnej opanować tę dziedzinę musimy, aby z lotu ptaka strzec ziemi rodzinnej. Skrzydła husarskie ojców zamienić musimy na skrzydła lotnika. Musimy zdobyć się na nieskrępowany lot nad całością naszych granic.

Naród przyjść musi wojsku swemu z pomocą, dając mu siły ludzkie i środki materjalne. Wówczas dopiero flota powietrzna Rzeczypospolitej będzie silna i niezależna od pomocy z zewnątrz.

Stan. Haller gen.
szef sztabu generalnego

się" przeszłością, lecz przygotowujemy i skupiamy siły nasze na przyszłość.

I czyż nie będzie odpowiednim moment, kiedy w uroczysty sposób obchodząc rocznicę wiekopomnej Konstytucji 3-go maja i oddając hołd wielkim jej twórcom, którzy chcieli przez nią ocalić Rzeczpospolitą, — i my pomyślimy o tem co się około nas dzieje, pomyślimy o przyszłości i zatrzymamy myśl naszą specjalnie długo nad jedną niezmiernie ważną kwestją — a jest nią *„Lotnictwo"*.

Wszędzie gdziekolwiek się ruszymy zagranicą o tem mowa.

W pracowniach uczonych i inżynierów, we fabrykach, biurach i urzędach wre bezustanna praca, ambicja i zdrowy zmysł samoobrony dyktuje narodom tę nieubłaganą konieczność: *„posiadanie silnej floty powietrznej"*.

I u nas się pracuje — ale za mało niestety, oddani tej czarnej pracy której na imię „sanacja finansów", zbyt silnie nią zaabsorbowani nawet myślą naszą nie dorównujemy innym narodom. A cóż dopiero czynem. Cyfry tylko o tem mogą powiedzieć.

U nas ledwo skromne początki — a u sąsiadów przyjaciół czy — co gorsza — nieprzyjaciół potężne floty powietrzne i ciągła praca nad wydoskonaleniem ich.

Obudź się, Warszawo, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Wilno! Do pracy! jak ongiś w pamiętnych dniach sierpnia 1920 roku wołano i krzyczano! Wszyscy na front — wszystko dla frontu! tak i teraz słowo „Lotnictwo", flota i obrona powietrzna powinno stać się hasłem dnia

Obudź się Polsko cała, byś we śnie swym nie była pogrążoną na zawsze pożogą zniszczenia, ogniem bomb i gazów, które szykują na Cię przemyślni sąsiedzi.

Patrzmy tylko, co się dzieje w innych państwach. Oto socjalistyczny rząd Anglji, najpotężniejszej dotąd na morzu żąda kredytów na rozbudowę floty powietrznej, by zabezpieczyć się na wszelki wypadek przed... sojuszniczką swą Francją. Oto ambicja i zmysł państwowy!

— A my — patrzymy spokojnie jak rozbudowują swą flotę Niemcy, jak poprzez nasze terytorjum zaprowadzają stałą komunikację, jak pracują i budują, jak uzbrajają i zaopatrują swoją „rappalowską sojuszniczkę" Rosję — i bezradni milczymy.

Nie zdajemy sobie sprawy, co się z nami stanie na wypadek już nie wojny ale najmniejszego zatargu zbrojnego, o który chyba nie trudno w Europie po-wersalskiej i po-ryskiej.

Zniszczone zupełnie miasta nasze, uniemożliwiona komunikacja wszelka, uniemożliwiona mobilizacja i wogóle wojna, zupełne wyniszczenie i zgnębienie czeka każdy kraj, czeka i nas jeśli nie otrząśniemy się z naszej apatji, jeśli nie rozbudzi się w nas ta zdrowa ambicja współzawodniczenia z innymi narodami, jeśli nie weźmiemy się do pracy nad *zbudowaniem silnej potężnej floty powietrznej*.

W tym uroczystym dniu 3-go maja warto o tem pomyśleć! *S. B.*

Na alarm.

Polska po wiekowej niewoli zmartwychwstała. Wielka wojna światowa, zniweczyła wielkość państw, które ongiś rozdarły Polskę, co w znacznej mierze przyczyniło się do, odzyskania straconej przez naszych przedków wolności. Duch narodu, silny nawet w czasach niewoli, — szybko otrząsnął nas z chwilowych pęt. Zdobyliśmy wolność, zdobyliśmy armję, która nam tą wolność obroniła od nowych zakusów wrogów i do dziś utrzymała. Zaczęliśmy znów na nowo żyć i doskonalić się we wszystkich dziedzinach życia społeczne o i państwowego.

Jedna tylko dziedzina została przez nas zaniedbaną zupełnie, mianowicie — lotnictwo. Dziedzina ta rozwinęła się w świecie w czasach naszej niewoli. My, nie mając wtedy możności brania czynnego — bezpośredniego udziału w pracy nad rozwojem lotnictwa, śledziliśmy tylko, i, to bez specjalnego zaciekawienia, zmagania się człowieka z mocami przyrody.

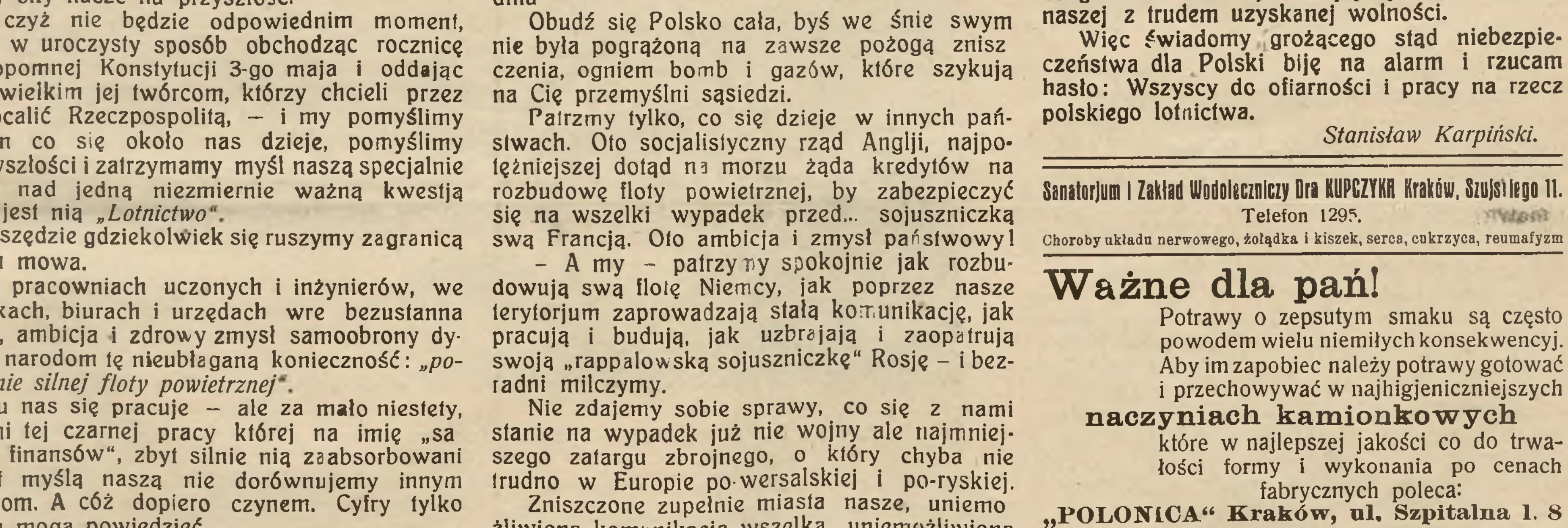
Po odzyskaniu wolności zaskoczeni zostaliśmy tym olbrzymim dorobkiem pracy, jaki inne narody już osiągnęły na polu lotnictwa. I miast natychmiast jąć się wytężonej pracy, mającej na celu dorównanie innym narodom, pozostaliśmy w tej dziedzinie naogół bierni. Garstka tylko Polaków zaczęła pracować nad rozwojem rodzimego lotnictwa, lecz garstka ta bez udziału całego społeczeństwa w tej pracy wiele nie zdziała.

A tymczasem technika lotnictwa zagranicą robi szalone wprost postępy. — Wysokość lotu 12.000 metrów, szybkość 400 kilometrów na godzinę, długość lotu ponad 48 godzin bez lądowania — to rezultaty, które jutro mogą być pobite przez nowe postępy. Człowiek zaczyna latać bez silnika na podobieństwo ptaków. Wszędzie wre gorączkowa praca.

Tylko my cofamy się wstecz, tylko my zupełnie zaniedbujemy tą potężną gałąź pracy, co grozi nam w najbliższej przyszłości zagładą naszej z trudem uzyskanej wolności.

Więc świadomy grożącego stąd niebezpieczeństwa dla Polski biję na alarm i rzucam hasło: Wszyscy do ofiarności i pracy na rzecz polskiego lotnictwa.

Stanisław Karpiński.



Polska z lotu ptaka: Kraków. Teatr Słowackiego z kościółkiem Swiętego Krzyża i Rondel, z nieukończonym jeszcze w owym czasie gmachem PKKP.. Pierwsze zdjęcie dokonane z wysokości 50 metrów — drugie — 100 metrów. (Aerofoto 2 pułku lotniczego).

"Orzeł Biały powinien rozwinąć swe skrzydła."

Szef Departamentu IV.Z.P.

Leveque
Generał Brygady.



Nie sam lot jest niebezpieczny, ale styczność z ziemią.

(Interwiew z marsz. Piłsudskim).

W zwiazku z zamiarem wydania specjalnego numeru „Nowości", poświęconego lotnictwu, udałem się dnia 7 kwietnia do Sulejówka, aby prosić Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego o wypowiedzenie się na temat lotnictwa.

Odszukałem dworek, w którym mieszka b. Naczelnik Państwa i zgłosiłem się u spotkanego przed domem por. Jabłonowskiego, spełniającego funkcje adjutanta, podając cel przybycia i prosząc o zameldowanie. Uprzejmy por. Jabłonowski udał się zaraz do Marszałka i po krótkiej chwili powrócił z oznajmieniem, iż Marszałek mnie przyjmie. Trafiłem na dobry moment, bo właśnie odjechał po złożonej wizycie adjutant Króla Rumuńskiego, gen. Florescu ze swem otoczeniem i Marszałek Piłsudski miał wolną chwilę.

Przygotowany byłem na przyjęcie o charakterze „oficjalnym", czego innego nie miałem powodu się spodziewać, ale Marszałek odrazu nadał naszej rozmowie ton niewymuszony. Ukazał się ubrany w mundur marszałkowski, zaraz po mojem wejściu w salonie, do którego wprowadził mnie por. Jabłonowski i witając mnie zapytał swobodnie z miłym uśmiechem:

— „A cóżeście się tak zawzięli na to lotnictwo?"

Wyjaśniłem Panu Marszałkowi, iż wydając specjalny lotniczy numer, mamy na celu propagandę na rzecz lotnictwa wśród społeczeństwa, i podałem w przybliżeniu ramy, w które ten temat pragnęlibyśmy ująć, a więc znaczenie i rozwój lotnictwa, problemy jego, cele i środki, stosunek społeczeństwa itp.

Ho, ho — szeroki to temat — powiedział Pan Marszałek siadając na kanapie i wskazując mi obok fotel — nie jest on łatwym do konkretnego ujęcia w takiej nieoczekiwanej rozmowie. Zdając sobie dobrze sprawę ze słuszności tej uwagi prosiłem, aby Marszałek raczył wypowiedzieć się na taki temat z dziedziny lotnictwa, jaki Mu się na myśl nasunie.

Co powiedział o tem Marszałek Piłsudski podaję poniżej w streszczeniu.

„Lotnictwo jest u nas traktowane jak luksus, przedmiot zbytku." Rozwój lotnictwa pozostaje w związku z ogólnym rozwojem kulturalnym w danem państwie. Tak jak n. p. automobilizm potrzebował pewnego czasu i pewnych warunków, aby mógł osiągnąć dzisiejszy poziom, potrzebuje tego i lotnictwo. U nas dzisiaj jeszcze są okolice i miejscowości, gdzie widok jadącego samochodu jest czemś szczególnem, cóż dopiero aeroplanu – jakkolwiek wojna ostatnia dała sporo sposobności do zapoznania się z tymi zdobyczami techniki. Na lotnictwo patrzy się jak na coś z życiem codziennem jednostki i mas niezwiązanego ściśle, jak na senzację, na oryginalne widowisko wreszcie. Ten stosunek musi uledz zasadniczej zmianie.

Jak samochód w swej podróży powinien znaleść wszędzie w razie defektu możność poczynienia koniecznych, choć nieraz drobnych, naprawek, zaopatrzenia się w benzynę i konieczne utensylia, tak aeroplan powinien mieć odpowiednie porty, a w nich środki umożliwiające mu dalszą jazdę w warunkach stosunkowo bezpiecznych. Konieczne są subsydia i ofiarność społeczeństwa.



Polska z lotu ptaka. Tatry fotografowane z aeroplanu na wysokości 1500 metrów. (Aerofoto 2 p. lotu.)

Ważnym i pierwszorzędnym problemem lotnictwa jest, jak się wyraził syntetycznie Marszałek Piłsudski, zanim określenie to wyjaśnił dokładnie komentarzami. — „opracowanie ziemi," czyli znalezienie sposobu pewnego, spokojnego i dowolnego lądowania bez względu na teren. — „Nie lot jest niebezpieczny, lecz styczność z ziemią" mówił Marszałek patrząc zadumany w przestrzeń...

Zatem – „opracowanie ziemi, która jest głównem niebezpieczeństwem dla lotnika"...

Ma się rozumieć do głównych warunków względnej pewności lotu należy wartość techniczna aparatu. Był czas, że mieliśmy w naszem lotnictwie zastraszającą ilość wypadków. Mieliśmy kiepskie aparaty, wyreperowane stare wehikuły powietrzne, były to główny powód tylu katastrof – to prawda, ale mimoto ilość wypadków była w pewnym czasie tak znaczna, że Marszałek zapytywał w tej sprawie o zdanie różnych wybitnych lotników innych państw. Jeden z nich podkreślał z naciskiem kwestję *pieczołowitości* nad aparatami lotniczymi. Utrzymywał, że te same aparaty, w różnych oddziałach, znajdujących się pod komendą różnych ludzi, umieszczone – wykazywać będą wielką lub minimalną ilość wypadków. Aparat powinien być pielęgnowany z całą troskliwością, wielokrotnie badany i utrzymywany w jaknajlepszym stanie. Jak bowiem „kawalerzysta czuje konia i wie do czego on jest zdolny", tak lotnik powinien znać aparat. Pieczołowitość, o jakiej mowa „opłaca się sowicie olbrzymiem zmniejszeniem ilości wypadków".

Wtrąciłem tutaj uwagę, iż w pospolitem mniemaniu ogółu śmiali lotnicy, dokonujący ryzykownych ewolucji w powietrzu traktowani są jak szaleńcy, kandydaci do rychłego samobójstwa.

Obruszył się Marszałek Piłsudski. – Jestto opinia krzywdząca i niesłuszna. Odważni ci ludzie, ryzykujący tylokrotnie swe życie dla sprawy są pionierami postępu w lotnictwie. O tem trzeba pamiętać, że bądź co bądź te ryzykowne, często nieszczęśliwe, próby okazały co może taki aparat dokonać, do czego on jest zdolnym, że jest on sprawniejszą maszyną, niż się przedtem zdawało. Ma się rozumieć dzieje się to nieraz kosztem życia tych ludzi.





Polska z lotu ptaka: Lwów. Ulica Legjonów fotografowana z wysokości 90) metrów i ogólny widok Lwowa z wysokości 300 metrów. (Aerofotografja 2 p. lotn.)

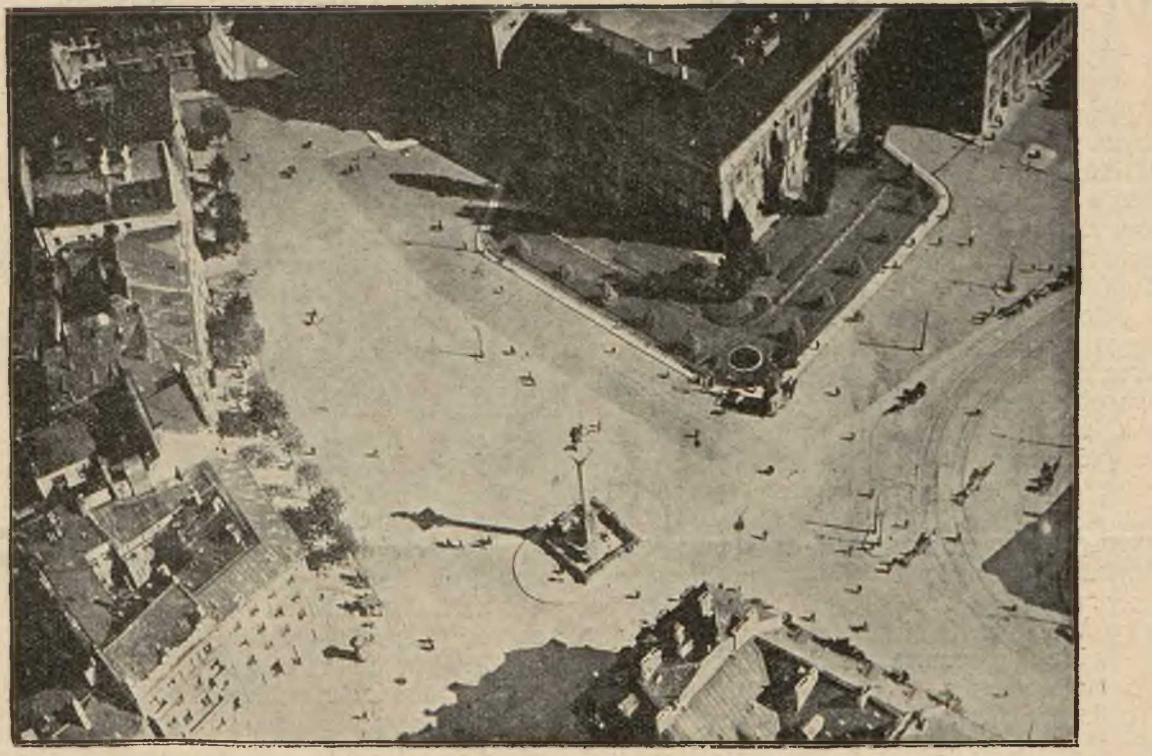
Ma się rozumieć — powtórzył raz jeszcze Marszałek — ich kosztem. Ryzyko naturalnie! Ale to trudno, musi się często ryzykować, aby cel osiągnąć.

Są to dzielni ludzie, Marszałek sądzi jednak, iż za dużo jest wśród nich indywidualnie dzielnych *sportowców*, stosunkowo mało zaś ludzi o „pańskiem oku, które konia tuczy". Opowiedziałem Marszałkowi Piłsudskiemu o rewji ostatniej na polu Mokotowskiem, odbytej w obecności min. gen. Sikorskiego (zdejmowanej do filmu „Skrzydlaty zwycięzca") i o śmiałych, choć nadprogramowych i samowolnych popisach jakiegoś lotnika-sierżanta. Słyszałem, że obiecywali mu parę dni „paki". Komendant roześmiał się. „Do kanciapy" — dodał po leguńsku (aż mi się miło na sercu zrobiło) — słusznie, bo wszak... aparat przecież, aparat..

Rozmowa moja z Marszałkiem przedłużała się, upłynęło już pół godziny. Marszałek był w doskonałym humorze, ujmujący, naturalny, wprost serdeczny — nie można jednak było nadużywać jego łaskawości. Podziękowałem przeto, iż raczył mi tyle czasu poświęcić i opuściłem wilegiaturę Marszałka Józefa Piłsudskiego, pożegnany przez Niego dobrem, szczerem uściśnięciem ręki.

Opuszczałem biały dworek w Sulejówku pod prawdziwym urokiem, płynącym od tego niepospolitego człowieka, tak prostego i tak dostojnego zarazem. Na mój pełen szacunku ukłon żegnała mnie poważnie białą rączką mała Dziadkowa córeczka...

(St. Prawdzic Grek).



Polska z lotu ptaka: Warszawa Plac zamkowy z kolumną Zygmunta i fragmentem Zamku Królewskiego.

Aerofoto 1 pułk lotniczy.

Jakie floty powietrzne mają inne państwa?

„Lot Polski" organ Ligi Obrony Powietrznej Państwa podaje następujące cyfry, charakteryzujące floty powietrzne głównych mocarstw:

Francja, utrzymuje się nadal na pierwszem miejscu w lotnictwie wojskowem. Ustawa 1923 r. przewiduje na czas pokojowy 132 eskadry bojowe (pościgowe i niszczycielskie) po 15 samolotów każda, t. j. 1280 płatowców, oraz 76 eskadr obserwacyjnych po 10 samolotów, t. j. 760 płatowców, co stanowi razem 2040 samolotów do czynnej służby frontowej. W liczbach tych nie jest uwzględnione lotnictwo morskie. Według danych pochodzących z Berlina, Francja rozporządzać będzie przy mobilizacji około 30.000 samolotami.

Drugie miejsce zajmuje *W. Brytanja*, której parlament w r.. 1923 uchwalił etat lotnictwa „House Defence", t. j. obrony metrópolji w składzie 82 eskadr po 12 samolotów, t. j. 984 płatowców do służby frontowej, $7^1/_2$ eskadr morskich, oddanych do wyłącznej dyspozycji marynarki, oraz eskadr utrzymywanych przez rządy dominjów i eskadr służby kolonjalnej.

Lotnictwo włoskie, na które szczególną uwagę zwrócił Mussolini, powiększa w roku bieżącym obecny stan samolotów o 720 t. j. liczba płatowców do służby frontowej przekroczy 1000. Jest to tylko pierwszy etap planowanej wielkiej rozbudowy lotnictwa włoskiego.

Z mniejszych państw *Czechy*, posiadają 3 pułki lotnicze, mniej więcej to samo *Belgja; Rumunja* ma kilkanaście eskadr; po kilka eskadr *państwa Bałtyckie i Skandynawskie.*

Niemcy i inne państwa zwyciężone w wojnie światowej nie mają prawa utrzymywać lotnictwa wojskowego, skutkiem czego wiadomości o rzeczywistym stanie lotnictwa są tam starannie ukrywane.

Najbliższy nasz sąsiad *Rosja*, posiada około 6 eskadr lądowych i morskich t. j. około 500 samolotów gotowych do walki od pierwszego dnia wojny. Akcja propagandowa, na niesłychanie szeroką skalę rozwinięta nie ustaje w Rosji od początku roku ubiegłego.

Poza Europą najsilniejsze lotnictwo posiadają *Stany Zjednoczone Płn. Ameryki* — mianowicie 47 eskadr, w tem 9 morskich. Na wypadek wojny zamierzają Stany Zjednoczone wystawić 3.600 płatowców w 200 eskadrach.

Na drugiem miejscu znajduje się *Japonja* z 35 eskadrami, w tem 17 morskich i 18 lądowych.

Z zestawienia tego, które pomija najzupełnie sprawę przemysłu lotniczego i lotnictwa cywilnego widzimy, jak daleko pozostaliśmy w tyle za innemi państwami i jak wiele mamy pracy przed sobą.

Każdy zwolennik pokoju europejskiego z drżeniem myśli o okropnościach przyszłej wojny. Ofiarą główną tej wojny będzie bezbronna ludność cywilna właśnie dzięki rozwojowi lotnictwa. Zapomocą bomb rzucanych przez lotników wszelkie większe centra kraju mogą być zniszczone w bardzo krótkim czasie.

Jedyną ochroną przed lotnikami są tylko lotnicy na aparatach bojowych.

Kto nie życzy sobie wojny powinien współdziałać w tworzeniu znacznej armji lotniczej.

Armja taka zastąpi w znacznej części tworzenie mas kawalerji, jakichbyśmy pomimo ich kosztowności potrzebowali ze względu na długość granic naszych pozbawionych naturalnych przeszkód i dobrych dróg. Armja lotnicza jest więc najtańszem ze wszystkich zbrojeń. Jest ona zarazem w wysokim stopniu narzędziem pokoju. Publiczną bowiem tajemnicą jest, że w r. 1923 pokój europejski nie byłby się utrzymał, gdyby nie armja przeszło 4.000 francuskich samolotów. I Polska, gdy będzie miała kilka tysięcy samolotów i rezerwową armję lotników, nie będzie wystawiona na atak sąsiadów, bo każdy mający ochotę do zaczepki wyrachuje sobie, jak wielkie zniszczenie ryzykuje we własnym kraju.

(—) Wojciech Trąmpczyński
marszałek Senatu.

Konkurs na projekt samolotu.

Ministerstwo Kolei Żelaznych, w celu wytworzenia w Polsce własnego typu płatowca do celów powietrznej komunikacji osobowo-pocztowej, ustanowiło konkurs na projekt takiego płatowca.

Najlepszy z projektów przyjętych przez powołane jury zostanie nagrodzony nagrodą pierwszą 1.200 złp., następny nagrodą 800 złp.

Termin składania projektów w Ministerstwie Kolei Żelaznych — dział lotnictwa — ustanowiony został na dzień 15 czerwca 1924 r.

Warunki konkursu dzielą się na ogólne i techniczne. Warunki ogólne zawierają wskazówki, dotyczące obliczeń i rysunków, jakie winien przedstawić konstruktor. Warunki techniczne dzielą się na podstawowe, bezpieczeństwa, ekonomii i komfortu.

W warunkach podstawowych podana jest ilość miejsc samolotu, a mianowicie od 6 do 8 szybkość pozioma przy ziemi wynosząca co najmniej 170 klm. na godzinę oraz minimum ogólnej mocy silników 260 KM.

Ogłoszenie konkursu pobudzi do twórczego wysiłku polskich konstruktorów i wykaże zagranicy, że Polska poważnie pracuje, by swe lotnictwo oprzeć na mocnych podstawach samowystarczalności.



Polska z lotu ptaka: Warszawa. Kościół Zbawiciela na placu tejże nazwy i ulica Marszałkowska.

Aerofoto 1 pułk lotniczy

Fotografia lotnicza dla celów pomiarowych przy wytyczaniu wschodnich granic państwa.

Wyznaczenie i wrysowanie w planach granicy państwa na wschodzie, biegnącej mniej więcej około 1500 klm. wśród nieprzebytych ludzką nogą bagien i lasów, wymaga nietylko olbrzymich wysiłków technicznych, ale też i zastosowania takiej metody mierniczej, któraby spotrzebowała najmniej sił fachowych. Pomiary aerofotogrametryczne granicy polegały na wykorzystaniu zdjęcia fotograficznego wykonanego przez lotnika. Jest to najnowsza metoda miernicza, która zdobyła sobie już prawo obywatelstwa za granicą.

Na pracę graniczną złożyły się zasadniczo dwie główne czynności; do pierwszej należy, obejście terenu w pasie granicznym, dokładne zbadanie planów dotyczących własności, stosunków gospodarczych, i t. d. Drugą czynnością jest zestawienie przeglądowego planu podstawowego dla pertraktacji ze stroną rosyjską, na podstawie którego Mieszana Komisja Graniczna Polsko-Rosyjska określiła granicę, mającą być następnie wytyczoną w terenie.

Tę linję graniczną wyznaczono w terenie i ustalono słupami dębowymi o wysokości czterech metrów, w takich odległościach od siebie, by strażnik graniczny mógł widzieć od jednego słupa do następnego. Na drobniejszych załamaniach sypano silne kopce graniczne.

Cała granica polsko-rosyjska, to jest przestrzeń od Łotwy aż do Rumunji została już obstawiona znakami granicznemi; porobiono przesieki leśne na długości setek kilometrów, linje graniczne obstawiono posterunkami straży granicznnj.

Obecne prace graniczne zmierzają do przedstawienia na planach i mapach ustalonej w terenie granicy. Plany te po ich zatwierdzeniu przez zainteresowane państwa staną się dokumentem państwowym, służącym do uregulowania sporu granicznego.

Na podstawie tych planów wyznaczyć można w każdej chwili bieg granicy polsko-rosyjskiej w terenie.

Prace te należą dzisiaj do jednych z największych prac pomiarowych, a stosowana metoda aerofotogrametryczna budzi wielkie zainteresowanie w świecie technicznym. Kierownik prac granicznych pułkownik inż. Rybarski mając na względzie z jednej strony ogrom pracy i konieczny pośpiech ze względów politycznych, a z drugiej strony szczupłość odpowiednich sił fachowych, przekonał sfery decydujące o konieczności zastosowania metody aerofotogrametrycznej, która powinna zaoszczędzić państwu miljardowe wydatki, nie mówiąc już o podniesieniu prestige'u, jaki za granicą uzyskamy przez ukończenie tej olbrzymiej pracy pomiarowej, w której dominuje metoda aerofotogrametryczna.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi na dokładne zapoznanie czytelników ze stosowaną metodą aerofotogrametryczną. Sądzę jednak, że kierownictwo techniczne po ukończeniu pracy ogłosi w odpowiednim miejscu fachową publikację. Na tym miejscu pragnę wyjaśnić tylko tę zasadę w sposób przystępny, popularny.

Zasadnicza praca aerofotogrametryczna przy Komisji Granicznej polega na fotografowaniu terenu z samolotu w powietrzu z wysokości przeciętnie 3.000 m. Jednakowoż zdjęcie to nie jest zwykłą fotografją, bo opiera się ono na geodezyjnej podstawie. Ściślej mówiąc, fotografuje się wraz z terenem punkta geodezyjnie wyznaczone, których orjentacja jest dokładnie matematycznie znaną; są to punkta tryangulacyjne, poligonowe i posiłkowe.

Punkta wspomniane są zaznaczone w terenie białymi znakami (wielkie regularne figury geometryczne) by się uwydatniały na kliszy fotograficznej.

Znaki te, wskazujące dokładne położenie punktów geodezyjnie wyznaczonych t. z. opartych na astronomicznych i geodezyjnych pomiarach, służą nam do obliczenia elementów orjentacyjnych (wysokość, kąt nachylenia i t. d.) w chwili fotografowania. następnie do przetworzenia tego zdjęcia na zdjęcie poziome i do sprowadzenia w potrzebną skalę i orjentację. Powstanie w ten sposób tak zwana fotomapa, z której po uzupełnieniu fotograficznym w terenie wyrysowuje się plan geodezyjny.

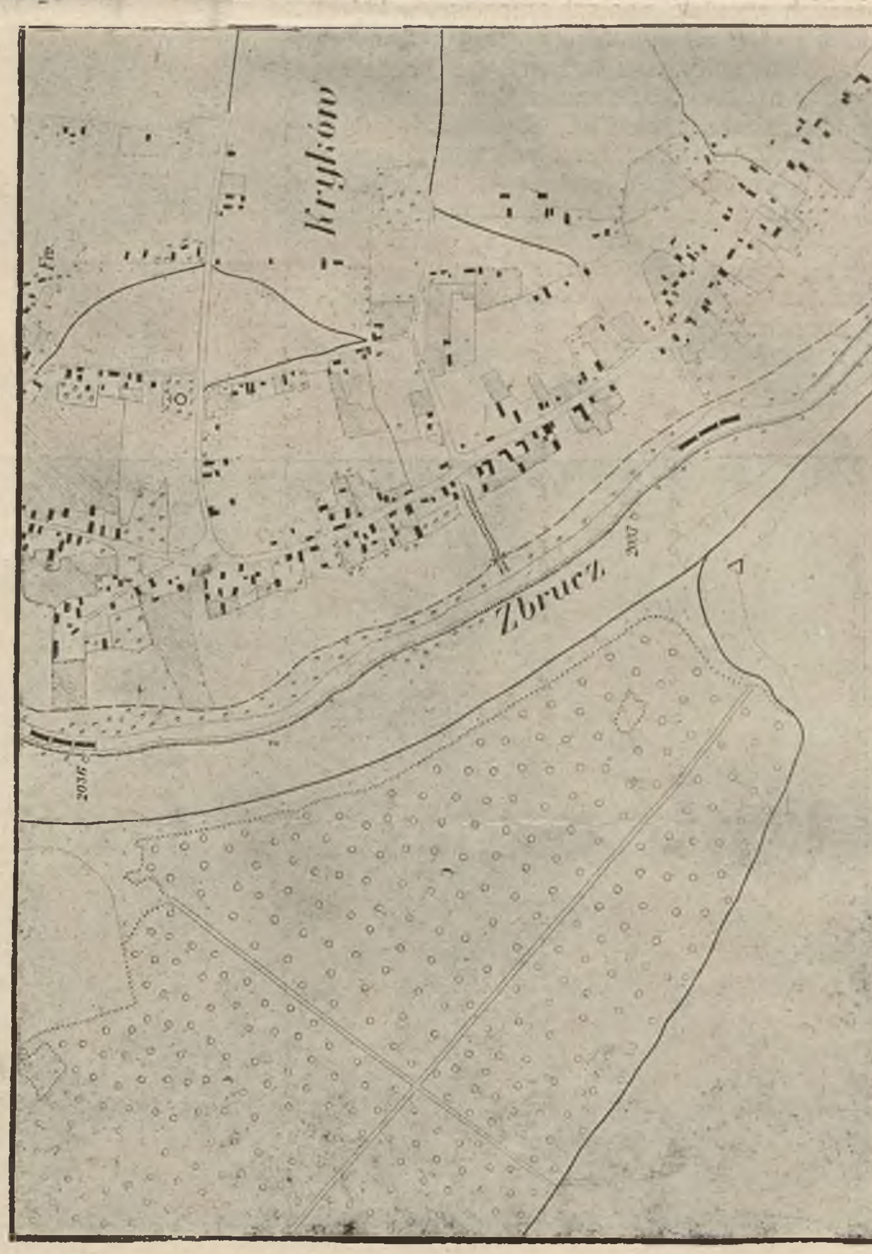
Zrozumiałem jest, że czynności te wymagają obliczeń matematycznych i całego szeregu prac technicznych, które zostają wykonywane przez oficerów Komisji Granicznej pod kierownictwem pułk. Wollena. Zaletą tej metody jest szybkość pracy, oszczędność sił technicznych i pieniądza, Mały zastęp aerofotogrametrów może wykonać pracę kilkakrotnie większą aniżeli o wiele znaczniejszy zastęp topografów; nie mówiąc już o tem, że niema miejsc niedostępnych dla samolotu.

W przybliżeniu koszta powinny być 15—20 krotnie niższe w porównaniu z kosztami innej metody.

Prace graniczne w ogólności odbywają się wyjątkowo w ciężkich warunkach, a mianowicie: brak map odpowiadających rzeczywistości, brak pomieszczeń w pasie granicznym i środków żywności, których sprowadzenie jest nadzwyczaj uciążliwe ze względu na wielkie odległości od najbliższych osiedli ludzkich. Jeżeli się weźmie pod uwagę bandytyzm powojenny, grasujący jeszcze ciągle na wschodzie, niezdrowe bagna, niedostępne lasy. roje komarów, jadowitych owadów i t. p. otrzymuje się dopiero w przybliżeniu obraz warunków, w których się praca odbywa. Także zachodzą wypadki ostrzeliwania naszych samolotów pracujących nad granicą przez nieuświadomione należycie posterunki bolszewickie; utrudnia to w wysokim stopniu pracę. Władze bolszewickie odmawiają udzielania wiz naszym pilotom-obserwatorom i fotogrametrom pomimo, że prace te zostały swego czasu rozpoczęte dopiero po osiągnięciu wspólnego porozumienia i współpracy obu zainteresowanych państw.

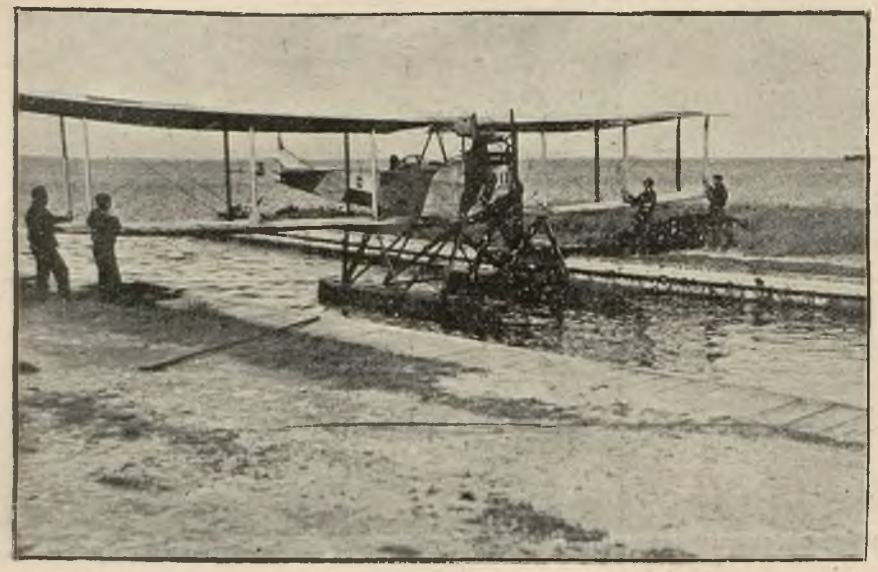
Inż. Tadeusz Wereszczyński.





Fotografia lotnicza dla celów pomiarowych przy wytyczaniu granicy polsko-sowieckiej. 1) Fotografja lotnicza pasa granicznego nad Zbruczem wykonana przez kpt. Rödera z wysokości 3000 m. 2) Plan tego samego obszaru wykonany przez kpt. Rödera na podstawie owej „fotomapy".

Hydroplany czyli samoloty wodne.





Całość nie różni się od zwykłego płatowca lądowego tak w budowie jak maszynerji i w kierownictwie. Podwozie, czyli konstrukcja dolna płatowca opiera się nie na osi kół, lecz na dwu łodziach zrobionych z cienkich deseczek, podzielonych przegródkami na małe komory, aby w razie przedziurawienia woda nie zalała całej łodzi, co spowodowałoby zatonięcie jej. Łodzie z góry zakryte i wysmołowane mają wymiary takie, aby przy największem obciążeniu płatowca nie zanurzały się więcej nad dwie trzecie swej wysokości. Skutkiem działania śruby (śmigła) płatowiec ślizga się temi łodziami po powierzchni wody : kiedy osiągnie odpowiednią szybkość, zapomocą manewrów sterami przez pilota odrywa się od wody i unosi w powietrze, potem w locie ulega tym samym ruchom co i lądowy płatowiec typu ciężkiego. Dla ułatwienia spuszczania płatowca na wodę buduje się stocznię, t. j. ocembrowuje się z dwóch stron część wody od brzegu (co zabezpiecza przed zbytniem biciem fal) chodniki, które pozwalają trzymać płatowiec za skrzydła, gdyż inaczej mógłby uledz uszkodzeniu od rzucania przez wiatr i fale. Rys. 1 przedstawia wodnopłatowiec w stoczni po powrocie z lotu (zwrócony ogonem do morza). Marynarze podtrzymują go, poczem pod łodzie spuszcza się z brzegu po dnie stoczni wózek, na którym wyciąga się wodnopłatowiec i tak przechowuje się w hangarze. Trzymanie dłuższy czas wodnopłatowca na wodzie grozi uszkodzeniem łodzi. Wszakże były wypadki, iż skutkiem zepsucia się motoru w czasie lotu lądowano na otwartem morzu i przez kilkanaście i więcej godzin lotnicy wyczekiwali przygodnego okrętu lub pomocy. Takie wyczekiwanie jest tembardziej przykre, że lotnicy widzą nieraz, jak fale stopniowo niszczą łodzie, a wówczas zbliża się powolna ale niechybna zguba. Rys. 2 przedstawia wodnopłatowiec w ruchu (od widza). Od szybkiego ruchu woda pieni się około łodzi.

Lotnictwo bezsilnikowe.

Lot bez silnika, zwany szybowym lub żaglowym, polega na zbadaniu i umiejętnem wyzyskiwaniu prądów wznoszących powietrza.

Na pomysł powyższy nasunęła ludzkość obserwacja lotu wielkich ptaków, jak np. orły, sępy i t. d., które nie poruszając skrzydłami, utrzymują się dowolny czas w powietrzu, osiągając przytem znaczne wysokości.

Jeszcze w XV wieku Leonardo da Vinci, na podstawie długoletnich studjów i obserwacji powyższych zjawisk, napisał rozprawę, w której uzasadnił możliwość naśladowania ptaków i, na poparcie swych twierdzeń, zbudował specjalnej konstrukcji skrzydła

Zamierzonego celu jednak nie osiągnął.

Szczęśliwszym od niego był inżynier niemiecki Lilienthal. Krocząc drogą wytkniętą przez poprzedników, Lielienthal w ośmdziesiątach latach ubiegłego stulecia budował już skombinowane przyrządy do latania i osiągnął znaczne wyniki. Dokonał bowiem około 2000 udanych lotów, utrzymując się przez dłuższy czas w powietrzu i przelatując kilkudziesięciometrowe przestrzenie.

Tragiczna śmierć, w czasie jednego z lotów, przerwała dalsze prace.

Nieco później, bo w roku 1903, amerykanie bracia Wright, zastosowali poraz pierwszy w lotnictwie silnik spalinowy. Kwestja latania w powietrzu została wówczas definitywnie rozstrzygnięta i próby lotów żaglowych, zostały zaniechane.

Dopiero po wojnie światowej, gdy zaszła potrzeba wyzyskania olbrzymiego zapasu samolotów — do celów transportowych, wysuniętą została kwestja *ekonomji* lotu.

Wiadomo bowiem, że stosowanie wysokokonnych silników w lotnictwie, powoduje znaczne zużycie smarów i paliwa, a co za tem idzie — wysokość opłat przewozowych.

W celu rozwiązania powyższej sprawy, powstała ponowna tendencja wyzyskania siły dynamicznej powietrza. Próby czynione pierwotnie w Niemczech, znalazły żywych naśladowców we Francji i dziś już jesteśmy świadkami wielkich sukcesów osiągniętych na tem polu.

Załączona poniżej tablica ilustruje dokładnie rozwój tej gałęzi lotnictwa na Zachodzie:

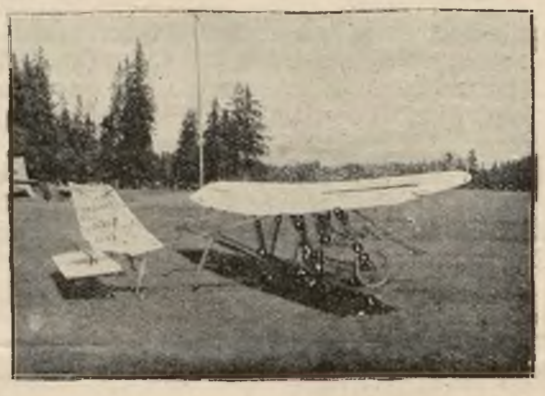
Czas lotu bez przerwy.

Rok 1921.

Sierpień inż. Klemperer (Niemcy) 13 minut.
Wrzesień Hath (Niemcy) 13 minut 37 sekund.

Rok 1922.

Sierpień Hentzen (Niemcy) 2 godz. 10 min.
Październik Maneyrol (Francja) 3 godz. 22 min.



Szybowiec Akar, najlepszy z aparatów polskich, które brały udział w konkursach na Babiej Górze.

Rok 1923.

3 stycznia Thoret (Francja) 7 godz. 3 min.
29 stycznia Maneyrol (Francja) 8 godz 5 min.
31 stycznia Barbot (Francja) 8 godz. 35 min. 56 sek.

Czas lotu z pasażerem.

26 sierpień 1922 Fokker (Holandja) 12 min
21 październik 1922 Olley (Anglja) 49 min.
9 styczeń 1923 Thoret (Francja) 1 godz. 9min.

Długość przelotu.

18 stycznia 1923 Maneyrol (Francja) 2 klm. 750 m.
21 lutego 1923 Descamps (Francja) 5 klm. 152 m.
27 lutego 1923 Maneyrol (Francja) 7 km. 750 m.
Lipiec 1923 Szultz (Niemcy) 51 klm. 500 m.

Wysokość.

7 lutego 1923 Descamps (Francja) 540 m. nad punktem odlotu.

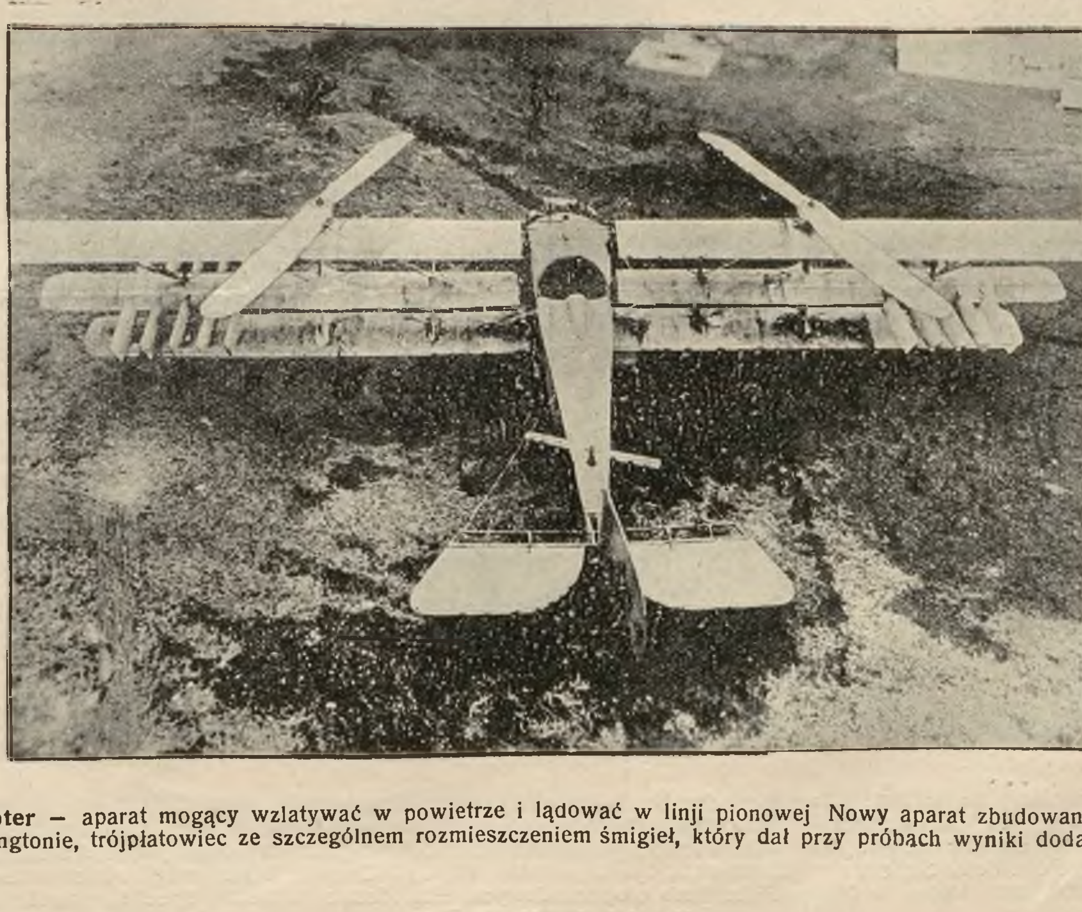
Osiągnięte rezultaty przeszły oczekiwania śmiałków, kwestja ekonomji lotu została rozstrzygnięta. Samoloty, zbudowane na wzorach żaglowców i zaopatrzone w parokonny silnik, stają się najtańszym środkiem komunikacji i wkrótce będą mogły konkurować z kolejami.

Idąc w ślady Europy Zachodniej, w roku ubiegłym zorganizowano pierwsze w Polsce zawody szybowcowe w Białce pod Nowym Targiem.

Zawody te, jako pierwsze dały naogół nieznaczne wyniki, lecz godnym uwagi jest fakt, że wszystkie samoloty były zarówno projektowane, jak też i wykonane w Polsce, przez polskich inżynierów i techników.

Pocieszającym atoli jest objaw, że wyniki, naszych zawodów nie są ostatnimi w Europie. Osiągnęliśmy czas: 3 min. 36 sek.

Sąsiedzi nasi, Czesi, mając wysoko postawiony przemysł lotniczy na zeszłorocznych zawodach, trwających od 19 kwietnia do 10 czerwca, osiągnęli zaledwie 54 sekundy (pilot Baitler).



Helikopter — aparat mogący wzlatywać w powietrze i lądować w linji pionowej Nowy aparat zbudowany w Waszyngtonie, trójpłatowiec ze szczególnem rozmieszczeniem śmigieł, który dał przy próbach wyniki dodatnie.

Wyniki innych krajów były jeszcze mniejsze a niektóre państwa, jak np. Rosja nie zdołały lotów zorganizować.

Zorganizowane w tym roku przez Ligę Obrony powietrznej państwa próbne loty zimowe na Babiej Górze, pod Zawoją zdają się rozpoczynać nowy okres badań tajemniczych sił przyrody.

„Skrzydlaty zwycięsca“,

pierwszy polski film lotniczy.

W roku zeszłym powstało w Warszawie z inicjatywy kpt. St. Karpińskiego przy udziale wybitnych przemysłowców i artystów: inż. Kazimierza Arkuszewskiego, Ryszarda Biske, Edmunda Johna, gen. dyw. Franciszka Krajewskieg, H. Karpińskiej, Z. Rothert. W. Kirchnera i Adama Augustynowicza Towarzystwo „Aero-film“. Ma ono na celu filmową propagandę polskiego lotnictwa, jako czynnika obrony Państwa oraz propagandę zagranicą Polski jako mocarstwa. „Aero film“ wytwarzać też będzie przede wszystkiem obrazy filmowe z dziedziny lotnictwa i patryotyczne, dbając przytem o to, by posiadały one pierwszorzędne walory artystyczne i literackie i aby wykonanie ich nie ustępowało w niczem produkcji filmowej zagranicznej.

„Skrzydlaty zwycięsca“ wykonany został z ogromnym nakładem artystycznej pracy i kosztów. Obraz obfituje w niezmiernie sensacyjne momenty, wspaniałe zdjęcia, wojny w powietrzu, bombardowanie miast ze samolotów, ostrzeliwanie nieprzyjacielskich aeroplanów przez artylerję zenitową i t. p. — Ma on otworzyć oczy



Skrzydlaty zwycięzca. Obraz symboliczny na tle mitologicznych klechd greckich o Ikarze, który jest prologiem całego filmu. Ikar (p. Parnel) ze złamanemi skrzydłami po szalonym wzlocie ku słońcu.



Skrzydlaty zwycięsca: Scena na miejscu wybuchu. Zdjęcie wykonane na gruzach katastrofy w Cytadeli warszawskiej (J. Węgrzyn i L. Zielińska).

na znaczenie lotnictwa w życiu Państwa, obudzić społeczeństwo z śpiączki i obojętności na sprawy narodowego lotnictwa i podnieść krzyk o grożącem niebezpieczeństwie. Główne i epizodyczne role grają znakomici artyści jak Lena Heczynaszwili (Karpińska), Lili Liana (Zielińska), W. Jarszewska Pawliszczewa, Bogusławska, Rothert, *Józef Węgrzyn*, M. Frenkiel, Szarski, Oranowski, Maniecki, Małkowski, Jaracz, Zelwerowicz, Parnel, Roland, Rożański, Szymański, Nawrocki, Gotar, Leo i w. i Stroną dekoratorską zajmowali się znani dekoratorzy pp. R. Biske i E. John.

Zapowiedź ukazania się tego filmu wzbudziła żywe zainteresowanie. Jestto pierwszy polski film lotniczy i pierwszy wogóle dwuserjowy polski obraz. Napisał go kpt. lotnik, znany literat Stanisław Karpiński, wykonała wytwórnia „Aerofilm“ przy udziale najwybitniejszych artystów polskiej sceny i ekranu, pod doświadczoną reżyserją p. Zygmunta Wesołowskiego, pracującego na tem polu od lat kilkunastu.

Zdjęć dokonano w różnych miastach Polski (m. i. także w Krakowie, o czem pisaliśmy swego czasu), przy udziale wojska (wszystkich rodzajów broni), straży pożarnych i tłumów statystów. Jednem z ostatnich zdjęć było zdjęcie z wspaniałej rewji lotniczej na polu Mokotowskiem w Warszawie, odbytej w obecności Ministra Spraw Wojsk. gen. Sikorskiego.



Skrzydlaty zwycięsca: Scena w rozmównicy więziennej. (J. Węgrzyn i Lili Ljana Zielińska).

Zarząd towarzystwa „Aero-film“ uchwalił część dochodów przeznaczać stale do dyspozycji wojskowego komisarza lotnictwa przy Sztabie Gen., jako fundusz na cele lotnicze, specjalnie na urządzenie państwowego instytutu aerodynamicznego przy politechnice warszawskiej i katedr lotnictwa przy wyższych uczelniach polskich.

„Skrzydlaty Zwycięsca“ wchodzi już w najbliższych dniach na ekran kinoteatru „Varsowia“ w Warszawie, mieszczącego w olbrzymim gmachu dawnego wrotniska i kina „Coloseum“.

Warszawa. *St. G.*



Skrzydlaty zwycięzca: Scena demonstrowania wynalazku — torpedy powietrznej przez lotnika Omskiego (J. Węgrzyn). Obecni: gen. dyw. Stanisław Haller, prez. m. Warszawy Jabłoński, płk. Regulski, prof. Taylor, inż Arkuszewski, min. kolei Tyszka, mjr. Warszylewicz, ppłk.-pilot Sarnowski, wiceprezes Ligi Obr. Pow. Szwejcer, senator Januszewski, dyr. dep. ruchu M. K. Z. Czapski, którzy wzięli udział w ten sposób jako aktorzy w tym wielkim fimie propagandowym. Posiedzenie to zostało specjalnie zwołane i zainscenizowane dla filmu.

„KOLUMB“ I HINDENBURG





Dwa te imiona charakteryzują w znacznej mierze przejawy obecnego życia Niemiec. Naturalnie jednak, że mowa tu nie o Krzysztofie Kolumbie, odkrywcy Ameryki, ale o olbrzymie morskim, nowym okręcie niemieckim należącym do Północno-niemieckiego Lloydu, który tym imieniem słynnego podróżnika został ochrzczony. Na uroczystość spuszczenia na wodę oceanu tego nowego olbrzyma przybył do Bremerhaven feldmarszałek Hindenburg, któremu tysiączne tłumy urządziły owacyjne przyjęcie. Gdy spojrzeć na podane wyżej zdjęcia, zda się, że są to przedwojenne czasy. Ten sam rozmach produkcji, budowa olbrzymich okrętów będących istotnie ostatniem słowem techniki; wskrzeszanie floty handlowej, groźnej rywalki dla dzisiejszych władczyń morza: Ameryki i Anglji (Anglja bowiem musiała już dziś ustąpić w tym zakresie pierwszeństwa Stanom Zjednoczonym) — a z drugiej strony kult munduru wojskowego i owacje dla obalonych (zdało się — niepowrotnie) bożyszcz cesarstwa. Dlatego to te dwie fotografje i te dwa nazwiska: imię olbrzymiego okrętu i imię zwyciężonego wodza mogą symbolizować duży odcinek dzisiejszego życia niemieckiego. Są one symbolami niezwykłej żywotności ekonomicznej, tego pokonanego militarnie, ale potężnego nadal ekonomicznie kolosa, i wyrazem ideałów odwetowych nacjonalizmu i militaryzmu niemieckiego, który nie rezygnuje i tylko czeka chwili sposobnej, aby pomścić poniesioną przez siebie klęskę. Na ilustracji widzimy feldmarsz. Hindenburga w dawnym cesarskim mundurze witanego owacyjnie w Bremerhaven, i okręt „Columbus“, przed którym zgromadziły się tłumy, a zespoły śpiewacze bremeńskie odśpiewują kantatę na cześć marszałka zwiedzającego okręt. (Marszałek stoi na pokładzie w miejscu oznaczonem krzyżykiem, i salutując, dziękuje za owacje).

BOB.

Pionier awiacji

humoreska.

Jak Bajorów Bajorowem, tak jeszcze takiego ruchu nikt nigdy w nim nie widział. Najstarsi ludzie siedząc w fotelach przy oknach otwartych, albo nawet wysuniętych przed domy, kiwają głowami na znak zdumienia i podziwu.

Już o siódmej rano pan aptekarz Pigułko zjawił się osobiście na wieży fabryki wody sodowej, służącej równocześnie za wieżę strażacką i jako etatowy komendant straży ogniowej, zadął wspaniałą, czterotonową pobudkę na rogu myśliwskim, wspaniałomyślnie wypożyczonym na ten dzień uroczysty, przez dziedzica. Zelektryzowani dźwiękami pobudki członkowie Bajorowskiej Straży Ogniowej i Kółka Rolniczego, w przeciągu nie całych 6 godzin byli już na miejscu zbornem pod wieżą.

Posypały się gromkie rozkazy i oto dwunastu strażaków, uzbrojonych od pasa aż do głowy (a pan komendant miał nawet buty i spodnie przepisowe) rozbiegło się po trzech ulicach miasta, by dokończyć przygotowań.

O godz. 4-tej miało się zacząć. Koniec nie był przewidzianym. O godz. 4-tej zatem początek. O 2-giej czterech rycerzy św. Florjana trzymało już kordon przy wejściu do parku miejskiego, dwóch innych sprzedawało bilety tłoczącej się publiczności, jeden zaś wyznaczonym był do odpędzania od bramy przechodzącego bydła. Pan komendant czynił honory parku, w czem dopomagał mu sumiennie i przystojnie sekretarz gminny i nauczyciel miejski. O godz. 3·30 nie było już ani jednego wolnego miejsca ani na ziemi ani na 14-tu drzewach parku. Tylko w samym środku ogrodu świeciła łysiną polana otoczona drutem, a na niej płachtą zakryta tajemnica. O godz. 4-tej punktualnie zatrzymały się wszystkich serca w biegu, a przez tłum powiał szept:

„Już idzie... już idzie“. I prawie równocześnie wolnych od służby przy bramie 3-ech strażaków wprowadziło pana Stanisława Balonika, szpalerem zwięzłym chroniąc go od natłoku.

Dokoła polany zakotłowało. Na najbliższych ławkach siedząca śmietanka miejska, jako to: poborcowie podatku, sędzia i sędzina, ksiądz proboszcz, emerytowany radca powiatowy i jego sześć córek, dom aptekarza łącznie z kucharką, no i w osobnej budzie zbudowanej trybunalnie pan prezydent miasta z żoną i dwoma jedynakami — ta zatem śmietanka poczęła do oczu przykładać cwikiery, lornetki, soczewski i szkiełka od zegarków, aby jaknajlepiej przypatrzeć się bohaterowi dnia, panu Stanisławowi Balonikowi.

Już wszedł na polanę wprowadzony pod rękę przez pana komendanta-aptekarza, już stoi koło tajemniczej płachty. Wtem pan komendant podnosi rękę by się uciszyło, na znak, że chce przemówić.

Uciszyło się, a on przemówił mniej więcej tak: „Szanowna Publiczności!

Oto dzień o którym od miesiąca mówił cały Bajorów, nadszedł naturalnie. Dziś, co mowię, zaraz, za kilka chwil ewentualnie zobaczymy coś, co na zawsze zostanie w naszej pamięci. — Oto stojący tu przed waszemi oczyma szanowny pan Stanisław Balonik...“

— Krowa! — ktoś z tłumu krzyknął nagle.

— Powiedziałem — pan Stanisław Balonik...

— Krowa! Krowa! — znowu krzyk.

— Ależ nie krowa...

— Ależ krowa wlazła do parku i może publiczność stratować!

— Ktoby krowę wpuścił?! — krzyknął pan komendant.

— Pogotowie strażackie! Wyprowadzić krowę!

Mały tumult połączony z krwiożerczym rykiem krowy, przerwał na chwilę mowę pana aptekarza. Na szczęście obyło się bez nieszczęścia i połączonym siłom trzech strażaków udało się wyprowadzić groźne zwierzę.

A gdy się uciszyło, pan Pigułko podjął dalej swoją orację.

„...Pan Stanisław zatem Balonik, dotychczas skromny aczkolwiek popularny felczer i fryzjer naszego grodu, przez szereg lat zamykał się w swoim pokoiku razjerskim i po godzinach golenia i wyrywania zębów, poświęcał się jakimś tajnym, alchemickim rzekłbym studjom. Znajomi jego uśmiechali się na to. A on nic. Nieznajomi nieuśmiechali się na to. A on nic. — Aż oto dziś on nam odsłoni owoc swoich studjów. Oto przez kilka lat budował aparat do latania. — Zauważyliście państwo zapewne, że w ostatnich czasach w Bajorowie znaleść nie można ani jednej myszy, ani jednego szczura, ani jednego kota. To zasługa pana Balonika. On to od dawna już skupował i wyłapywał te stworzenia i ze skórek ich specjalnie wyprawionych zbudował swój aparat. — Cześć mu na razie za to. A kiedy odbędzie swój pierwszy lot i znowu stanie między nami, uczcimy w nim pioniera, zdobywcę powietrza. Dzięki niemu to bowiem gród nasz może zasłynąć wnet na całą ziemię, od Kołomyji aż po Wiedeń. Więc niech żyje nam pan Stanisław Balonik!

— Niech żyje! Niech żyje!

Pan Balonik blady i wzruszony, ale pewny siebie, czego go rwanie zębów nauczyło, ukłonił się kilka razy i płachtę odsunął. I oto z pod niej wzniósł się napompowany już gazem balon, przywiązany do kółka wbitego w ziemię.

Publiczność zastygła w oczekiwaniu.

A on, pan Stanisław kłaniając się ciągle przewiązał się w pół jakąś linką wisząca u balona i wspiął się na palcach chcąc klapy spróbować.

Nagle balon poderwał się, wyszarpnął kołek z ziemi i nim kto zdążył temu przeszkodzić, uniósł pana Stanisława w powietrze. Ktoś go usiłował wprawdzie złapać za nogi, ale zapóźno. Przeraźliwe krzyki bohaterskiego pana Stanisława świadczyły o tem, że wzlot jego nie w ten mial się odbyć sposób. Przewiązany sznurem w pasie zwisał ku dołowi i krzyczał w niebogłosy, wymachając wszystkiemi kończynami.

Publiczność widząc grożące awiatorowi niebezpieczeństwo zaczęła biegać tu i tam zpowrotem. Z zadartych głów sypały się krzykiem rady. Ktoś wołał, by sprowadzić sikawkę i haki, ktoś radził uderzyć w dzwony kościelne, poczmistrz twierdził, że najlepiej zadepeszować o wojsko, — tymczasem balon powoli ale ciągle unosił się w górę. Kobiety piszczały, mężczyźni zębami kłapali. Ktoś przez silne szkiełko od zegarka zobaczył, że pan Stanisław staje się sinym.

— On kona!

Wtem powiał wiatr i balon miast do góry, począł w bok szybować. Znowu na chwilę zrobiła się cisza. Oto przed balonem rosło drzewo. Ono mogło go zatrzymać. Ono jedno! I... zatrzymało. Pan Stanisław jednak mimo tysiąca prób, nie mógł dostać się do żadnej gałęzi i wciąż wisiał między balonem a ziemią.

Ale Bajorów miał tęgich obywateli, nie prędko tracących głowy. Pan kamendant już ją odzyskał i w przeciągu dwóch godzin pod drzewo przytrzymujące balon zajechał wóz strażacki z drabinami.

Cały tuzin strażaków z komendantem na czele rozpoczął akcję ratunkową. Związano wszystkie drabiny i oparto je o ścianę balonu. A wtedy komendant sam, z pięcioma szeregowcami począł wspinać się ostrożnie po szczeblach. Publiczność cisnąc się u dołu coraz okrzykiem jakimś dodawała bohaterom otuchy.

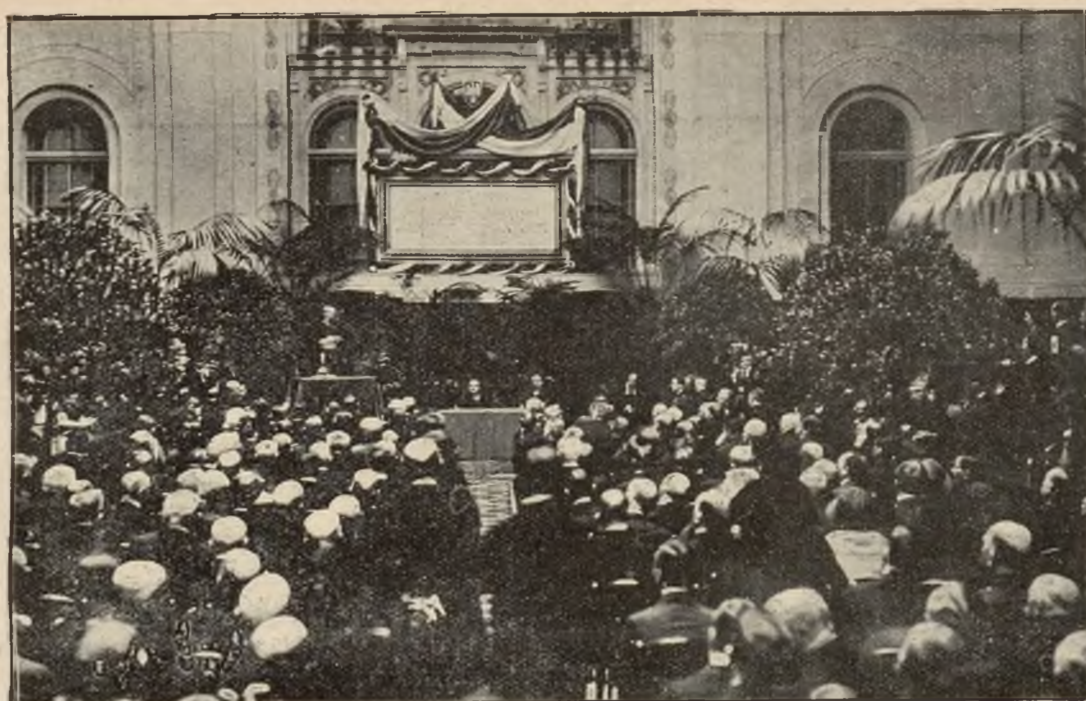
— Jeszcze trochę! — Zaraz, zaraz panie Stanisławie, jeszcze chwila! — Powoli, powoli, aby balon drzewa nie wyrwał!

Nagle!... Straszny trzask! — Ostre końce drabiny przedziurawiły bok balonu!

A to co się stało, trwało kilka sekund.

Zebrany w balonie gaz z potwornym sykiem ulotnił się. Balon w oczach poprostu schudł jak worek.

I nim kto zdążył coś więcej zrobić aniżeli krzyknąć, pan felczer Stanisław Balonik, pan komendant-aptekarz Pigułko i pięciu strażaków zleciało na głowy dodającej im otuchy publiczności, a w chwilę później miejsce tragedji nakryła powłoka balonu, zszyta ze skurek myszy, szczurów i kotów całego Bajorowa.



Otwarcie Banku Polskiego w dn. 28 kwietnia 1924 r. Po odsłonięciu tablicy pamiątkowej przemawia z trybuny prezes Karpiński. Przy stole pod tablicą siedzi min. Grabski.
Fotografował specjalnie dla „Nowości" Sarj sz Wolski —

Uroczyste otwarcie Banku Polskiego.

W poniedziałek dnia 28 kwietnia odbyło się we wszystkich wielkich miastach polskich otwarcie Banku polskiego.



Otwarcie Banku Polskiego w dniu 28 kwietnia Pod tablicą pamiątkową otwarcia Banku stoją: dyrektor Mieczkowski i prezes St. Karpiński.
(Fot. specjalnie dla „Nowości" Sarjusz Wolski — Warszawa).

Najwspanialej naturalnie i uroczyście otwarcie to odbyło się w stolicy w Warszawie.

O godz. 8 rozpoczęło się w katedrze św. Iana uroczyste nabożeństwo na intencję Banku Polskiego, celebrowane przez ks. kardynała Kakowskiego. W prezbiterjum katedry zgromadzili się: rząd in corpore z prezesem Rady ministrów Grabskim na czele, marszałek Senatu Trąbczyński i marszałek Sejmu Rataj, przedstawiciele poszczególnych klubów sejmowych i senackich. Rada nadzorcza i dyrekcja Banku Polskiego w komplecie, generalicja, przedstawiciele świata dyplomatycznego, przedstawiciele samorządu warszawskiego, wyżsi urzędnicy ministerjalny, delegaci pracowników Banku Polskiego i mennicy polskiej, wreszcie liczni przedstawiciele świata gospodarczego, finansowego, przemysłowego i handlowego.

Po ukończeniu nabożeństwa wszyscy zgromadzeni udali się na ulicę Bielańską, do siedziby Banku Polskiego, gdzie punktualnie o godz. 9-tej, prez. Grabski wygłosił inauguracyjne przemówienie:

W przemówieniu oświadczył premier, że społeczeństwo nie żałuje dawnej waluty, bo nie myśmy ją sobie upatrzyli i wybrali, lecz narzucono ją nam. Przez cały czas trwania marki polskiej, jako waluty, nie próbowaliśmy jej dać podstaw legalnych, nie ustaliliśmy, co ona ma być warta, a skarby, które gromadziliśmy, nie dla niej były gromadzone, ale dla tej nowej przyszłości, przez nas samych dobrowolnie obranej i upatrzonej waluty.

Nie dziwimy się więc, że ta dawna waluta nie mogła dać społeczeństwu tych dobrodziejstw, jakich spodziewamy się od nowej. — Nową uposażyliśmy w silne fundamenty materjalne. O ile jednak ma ona zupełnie ziścić nasze nadzieje, to musimy jej dostarczyć również i moralnych wartości, a to z gruntu innych, jak te, które dawaliśmy dotychczasowej walucie, która nas zawiodła. Zawiodła nas ta dawna waluta nietylko dlatego, że nie dawaliśmy jej materjalnych podstaw, że odmawialiśmy jej podstaw prawnych, ale również i dlatego, że nie umieliśmy wobec niej tak postępować, jak postępować należy wobec waluty, o ile ona ma spełnić swoje zadanie. Chcieliśmy, ażeby ona wykonała za nas wysiłek wtedy, kiedy zamierzaliśmy tworzyć źródła bogactw bez przyczyniania się nas samych do tej pracy, a więc do tworzenia bogactw tych w sposób sztuczny, pozorny. Wymagaliśmy od niej więcej, aniżeli każda godziwa waluta jest w stanie dać społeczeństwu i dlatego musiała ona nas zawieść.

Mamy walutę mocno ufundowaną materjalnie, musimy się zdobyć na stałą siłę moralną, jaką daje dojrzałość, a wówczas możemy być przeświadczeni, że waluta spełni swoje zadanie to mianowicie, ażebyśmy mogli z całym spokojem byt nasz oprzeć na pracy i w tej pracy widzieć sprawiedliwą miarę dla każdego. We wzmożeniu spotęgowania pracy całego społeczeństwa musimy widzieć główne źródła potęgi tego społeczeństwa i siłę całego państwa.

Mowę prezydenta ministrów Grabskiego przywitano długotrwałemi, hucznemi oklaskami. W chwili zakończenia przemówienia premier Grabski odsłonił tablicę marmurową z napisem:

„Państwo polskie, powołując do życia w r. 1924 nowy Bank Polski, jako ostoję ładu pieniężnego w kraju i jako wyraz dotychczasowej duchowej łączności z przedwiekową instytucją tejże natury, wyraża wdzięczność tym licznym obywatelom, którzy nie szczędzili ofiar na skarb narodowy".

W chwili odsłaniania tej tablicy, chór odśpiewał hymn: „Gaude Mater Polonia".

Następnie prezes Rady nadzorczej Banku Polskiego, p. Karpiński wygłosił przemówienie, w którem przedstawił historję Banku Polskiego za czasów księcia Lubeckiego. Po nim przemawiał dyr. gen. p. Mieczkowski, rozwijając zasadę uczciwej pracy i oszczędności. W dalszym ciągu przedstawiciel urzędników Banku, p. Madej, złożył hołd prez. min. Grabskiemu, przyjęty frenetycznemi oklaskami, poczem chór odśpiewał kantatę: „Czas do pracy, czas".



Znakomity Amerykanin w Krakowie. Dr. Mott i prof. Dybowski na Wawelu u wejścia do rotundy S-go Feliksa i Adakta, w głębi mjr. L. Pusłowski.

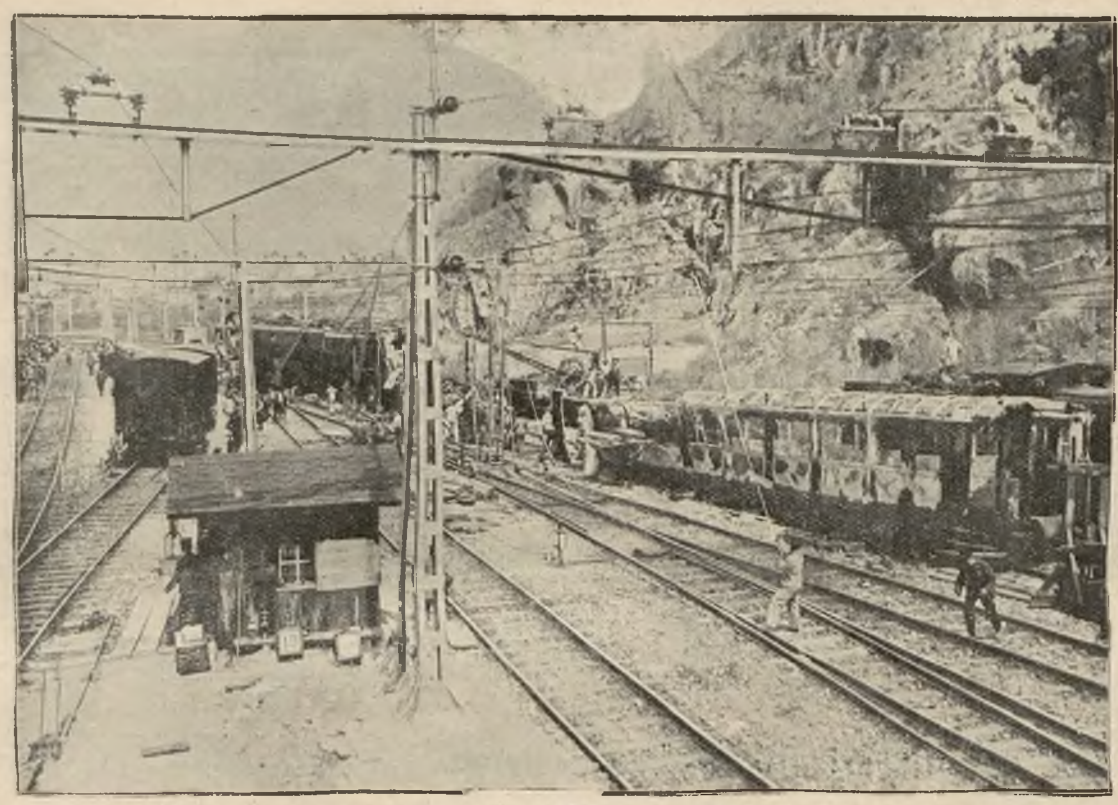
W końcu dyr. Mieczkowski uznał uroczystość za skończoną, a Bank Polski za otwarty.

Symbolem zniszczenia dawnej marki polskiej było rozpoczęcie wypłaty w nowej walucie. Pierwszemi interesentami banku byli: pani prezesowa Karpińska, oraz przedstawiciele prasy.

O godz. 10.30 przed południem bank rozpoczął swe czynności.



Znakomity Amerykanin w Krakowie. Dr. Mott, szef YMCA zwiedza Wawel. Na tle arkad dziedzińca wawelskiego stoją: rektor Szyszko-Bohusz, dr. Mott i prof. Dybowski, w głębi prof. Marchlewska, gen. Listowski i p. Mottowa.



Straszna katastrofa kolejowa w Bellinzoni stacji przy tunelu St. Gotthard: Na granicy szwajcarsko-włoskiej, przy której poniósł straszną śmierć w płomieniach b. minister niemiecki Helfferich. Fotografja przedstawia miejsce zderzenia się pociągów bezpośrednio po katastrofie. Fot. John Graudenz, Berlin.

Wybitny amerykanin w Krakowie.

W poniedziałek, bawił w Krakowie dr. J. Mott, jeneralny sekretarz międzynarodowego komitetu Y. M. C. A., jeden z najwybitniejszych mężów obecnej doby, odznaczony przez Francję wstęgą Legji honorowej, a świeżo przez Grecję najwyższym orderem dla osób cywilnych, mianowicie orderem Zbawiciela. Dr. Mott jest amerykańskim działaczem społecznym wielkiej miary, darzonym szczególniejszem zaufaniem ś. p. prezydenta Wilsona i obecnego prezydenta Stanów Zjedn. p. Coolidge. Jemu to Europa zawdzięcza tak żywy udział t. zw. cioci Ymci w łagodzeniu skutków wojny światowej.

Wraz z drem Mottem przybili: mr. Davis, szef. europejskiej Y. M. C. A. i dr. Schwamm, kontrolor zamorski.

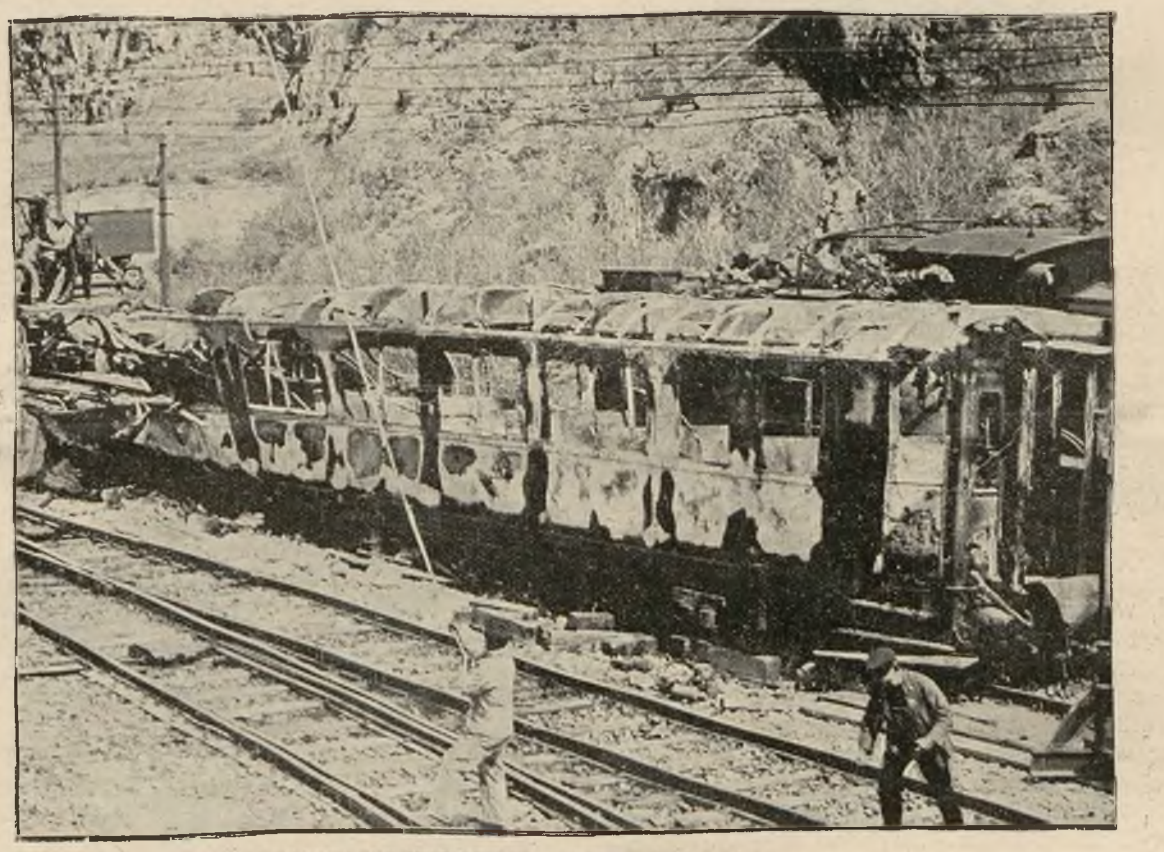
O godzinie 10.40 przywitali gości na dworcu krakowskim, w sali przyjęć, przedstawiciele władzy, wojskowości i miasta, starosta Tchórznicki im. województwa, wicepr. miasta Rolle, rektor Hoborski, rektor Szyszko-Bohusz, generał Górecki, z inspektoratu armji rmt. Naimski, oraz mjr. Pusłowski, przyczem orkiestra wojskowa odegrała hymn amerykański. Stamtąd udał się dr. Mott automobilem na Wawel w celu zwiedzenia katedry i zamku, w towarzystwie pp. rektora Akad. Szt. P. Szyszko-Bohusza, prof. Marchlewskiego, prof. Dyboskiego i majora Pusłowskiego. W drugim automobilu zajęła miejsce p. Mottowa w towarzystwie ks. Sapieżanki, p. Marchlewskiej i p. Jacobowej.

O godzinie 1-szej, Rada zarządzająca krakowskiej Y. M. C. A., podejmowała obiadem w sali marmurowej Grand Hotelu dra Motta i zaproszonych gości: wojewodę, prezydenta miasta, prezesa Akad. Um., rektorów wyższych zakładów naukowych itd.

Po obiedzie, dr. Mott odwiedzi lokal Y.M.C.A.

Wieczorem o g. 6 odbyło się w sali Rady m. Krakowa powitanie gości przez Radę miejską, oraz zaproszonych przedstawicieli władz i instytucyj społecznych. O g. 6 i pół wszedł na salę Dr. Mott w otoczeniu prez. m. Federowicza i wicepr. Dra Wielgusa, Rollego i Sarego, przywitany przez zebranych oklaskami. Do gościa przemówił prez. Federowicz, podkreślając, iż Stany Zjednoczone z Polską zawsze łączyły węzły gorącej przyjaźni. Przemówienie swoje zakończył prez. Federowicz okrzykiem na cześć Stanów Zjednoczonych, ich prezydenta, oraz Dra Motta. Po przemówieniach prez. Federowicza, Dr. Mott podziękował za przyjęcie, poczem wygłosił swój odczyt o sytuacji światowej. Przemówienie Dra Motta i odczyt tłomaczył z angielskiego obecnym rotmistrz hr. Pusłowski.

Z Krakowa goście amerykańscy udali się do Łodzi i Warszawy.



Straszna katastrofa kolejowa w Bellinzonie: Spalone wraz z podróżnymi wagony niemieckie, które szły z Berlna do Rzymu. (Fot. J. Graudenz — Berlin.)

Katastrofa kolejowa w Bellinzoni.

Na granicy szwajcarsko-włoskiej w Bellinzoni, przy słynnym tnnelu St. Gothard miała miejsce strasz!iwa katastrofa zderzenia się pociągów, której ofiarą padło kilkanaście osób. Po zderzeniu bowiem niemieckie wagony pociągu idącego z Berlina przez Szwajcarję do Włoch, nietylko zdruzgotały się, ale i zostały objęte nagle wybuchłym pożarem. Między ofiarami katastrofy znalazł się i jeden z najwybitniejszych polityków niemieckich, b. minister skarbu Rzeszy w czasie wojny. Karol Helfferich, który wraz z matką swą zginął w płomieniach palącego się pociągu.

Tragiczny zgon Helffericha stanowi dotkliwy cios dla niemieckieo obozu najconalistycznego. Był to bowiem człowiek, który w dziejach Niemiec dwudziestego wieku odegrał rolę olbrzymią. Z zawodu ekonomista, profesor ekonomji, był przed wojną dyrektorem kolei anatolijskiej w Konstantynopolu i później dyrektorem banku Rzeszy. W czasie wojny zaś — ministrem skarbu. Po zgonie Stinnesa nacjenalizm niemiecki utraci w Helfferichu drugiego swego przywódcę.

Fotografje nasze przedstawiają miejsce katastrofy w Bellinzonie, oraz ruiny zdruzgotanego pociągu i spalonych wagonów niemieckich.



Giełda krakowska w nowej siedzibie: gmach „na gródku" w którym się mieści nowa siedziba giełdy krakowskiej.

Senzacyjna ucieczka bandytów z więzienia krakowskiego.

W niedzielę rano rozeszła się po Krakowie wieść o śmiałej ucieczce 4 opryszków z więzień sądu okr. karnego. Rzeczywiście wiadomość okazała się prawdziwą, zbiegł bowiem z więzienia Józef Koza, niebezpieczny bandyta i morderca, którego rozprawa toczyła się właśnie przed sądem przysięgłych. Razem z nim zbiegli: Mojżesz Haselnuss recte Edmund Szabes (lat 35), pozostający w śledztwie pod zarzutem szpiegostwa, dalej Stan. Gibas (lat 28) z powiatu chrzanowskiego, zawodowy złodziej i Józef Idec (lat 20) złodziej krakowski. Wedle zeznań świadków przesłuchanych w sądzie, sprawa ucieczki więźniów przedstawia się następująco: W niedzielę przed godz. 7 rano na t. zw. trzecim korytarzu, gdzie zamknięci są w kaźniach najniebezpieczniejsi więźniowie, dozorca Mazanek, pełniący służbę, usłyszał w celi Kozy łomot i wołanie, aby celę otworzono. Gdy Mazanek otworzył drzwi do celi Kozy, bandyta stanął przed nim z wyciągniętym rewolwerem i sterroryzowawszy dozorcę wpakował go do celi, a sam, wyrwawszy klucze z rąk Mazanka, zamknął go w celi. Wtedy czując się bezpiecznym, gdyż na korytarzu nie było drugiego dozorcy, począł otwierać sąsiednie kaźnie wywołując więźniów na korytarz.. Po otworzeniu



Senzacyjna ucieczka bandytów z więzienia krakowskiego: Zbiegły z więzienia i nieschwytany dotychczas międzynarodowy szpieg i złodziej Moses Schabes false Haseluuss.
(fot. Eksp. śledcza — Kraków).

kaźni, w której siedział Schabes, Idec i Gibas, wręczył Gibasowi drugi rewolwer i ruszył z nimi labiryntem więziennym ku wyjściu. Na dole Koza wraz z trzema zbiegami steroryzowali rewolwerami klucznika Ważydrąga, poczem otworzywszy bramę więzienia kluczem, który tkwił w zamku, wybiegli na ulicę Senacką. Tu Schabes i Idec uciekli w stronę ul. Grodzkiej, zaś Koza i Gibas podążyli ku plantom. Idący właśnie do służby dozorca więzienny Kumer, spotrzegłszy podejrzane postacie, wszczął alarm, i puścił się w pogoń za Kozą, krzycząc o pomoc. W tej chwili nadbiegli od strony ul. Zwierzynieckiej dwaj policjanci Franaś i Socha i rozpoczęli pościg za Kozą i Gibasem. Wkrótce ujęto Gibasa, przy którym znaleziono magazyn z nabojami. Gibas w czasie śledztwa zeznał, że posiadał także rewolwer, ale go w ucieczce odrzucił. Po ujęciu Gibasa, otoczono Kozę, który zbliżając się do muru ogradzającego drukarnię Anczyca na ulicy Straszewskiego, wystrzelił dwa razy w stronę Kumera. Widząc jednak, że ucieczka jest niemożliwą, stanął pod murem i celnym wystrzałem w skroń, pozbawił się życia. Kula przeszywszy głowę bandyty, ugrzęzła w murze. Koza runął na ziemię zbroczony krwią i nim podbiegli do niego policjanci oraz Kumer, już nie żył.

Koza już raz po aresztowaniu go na G. Śląsku, zdołał zbiedz z wiezień w Katowicach, mimo wprost niemożliwości wydostania się z zabudowań więziennych. W kilka miesięcy później aresztowano go na terenie Małopolski.

Charakterystycznem jest co do ucieczki Schabesa, obwinionego o szpiegostwo, że przed niedawnym czasem również wydostał się w tajemniczy sposób z więzień policyjnych przy ul. Siemiradzkiego, głośny szpieg Hladisz i zbiegł do Czech.

Do depozytu sądowego złożyła policja kapelusz filcowy, w jakim ukazał się Koza w czasie



Józef Koza, zuchwały herszt bandytów, który schwytany w ucieczce odebrał sobie życie.

ucieczki, chociaż w więzieniu miał tylko czapkę aresztancką.

Tragiczne zajście, którego opis wyżej podajemy, wywołało w mieście pewne zaniepokojenie i nasunęło rozmaite wątpliwości co do kontroli i straży nad niebezpiecznymi więźniami. Z przebiegu ucieczki wynika, że zbrodniarze byli do niej przygotowani przez stosunki z nieznanymi wspólnikami pozostającymi na wolności. Uderzającym zaś jest fakt, że Koza otworzył celę nie swoim „towarzyszom", ale szpiegowi Schabesowi, który na rozprawę dopiero oczekuje. Prawdopodobnie zatem szpieg i bandyta porozumieli się i pomagali sobie wzajemnie; może nawet Koza, opryszek zuchwały i desperat, był tylko narzędziem Schabesa lub jego pomocników, operujących w cieniu. Koza sam sobie wymierzył sprawiedliwość, Schabes natomiast zbiegł i nie został dotychczas odszukany, Idec również. Dochodzenie dyscyplinarne wyjaśni niezawodnie, w jaki sposób ucieczka przyszła do skutku; zaszły jednak niezawodnie jakieś zaniedbania czy nieprawidłowości, które wymagają odpowiednich sankcyj. Oprócz tego przepełnienie krakowskiego więzienia i niedostateczna liczba pełniących służbę dozorców umożliwiają wypadki podobne do ostatniego epizodu, który mógł mieć przebieg daleko tragiczniejszy. Czynniki kompetentne muszą zatem jak najprędzej wydać odpowiednie ściśle zarządzenia.

HENRYK GRALSKI.

Aforyzmy i paradoksy.

Są tacy, co nie mają odwagi nawet do... okazania swego tchórzostwa.

* * *

Bezczelność jest dosłownie i istotnie początkiem bezhołowia.

* * *

Niekażdy optymista jest „jasnowidzącym"

* * *

Wszystko można kupić za gotówkę, miłość tylko na... raty.

* * *



Senzacyjna ucieczka bandytów z więzienia krakowskiego: Józef Idec złodziej mieszkaniowy i t. zw. doliniarz. — Dotychczas nie schwytany.
(fot. Eksp. śledcza — Kraków).

Aby trafić w bramkę szczęścia, trzeba footbalowej rutyny w używaniu obcasów i kopaniu.

* * *

Sprytny kupiec „lekce — waży" swój towar.



Senzacyjna ucieczka bandytów z więzienia krakowskiego: Art. malarz p. Barański, który był przypadkowym świadkiem pościgu za zbiegłymi bandytami i śmierci Kozy, naszkicował dla pisma naszego scenę z narożnika ul. Zwierzynieckiej. Jest to chwila, gdy po schwytaniu Gibasa — Koza osaczony przez uzbrojonych policjantów strzelił do siebie z rewolweru, by się nie dać wziąć żywcem. W głębi przy ogrodzeniu plant widać jakiegoś ostrożnego przechodnia, który widząc strzelaninę, zrobił po wojskowemu „padnij" i przytulił się do jezdni, aby się zabezpieczyć przed kulami.



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. ILUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

8)



Zakłopotany nie wiedział jak się z nim porozumieć. W końcu wyciągnął list i pokazał negrowi adres.

Ten przekrzywił głowę, przeczytał i krzyknąwszy:

— O Yes! — pobiegł przodem.

Szpalerem dziwacznie wykręconych drzew cytrynowych obszedł Jurek cały dom naokoło, nieco pod górę.

Z tamtej strony, na szerokiej terasie, chronionej płócienną markizą od słońca, stało parę szezlongów z mnóstwem dywanów i poduszek. Na miękkim tem posłaniu leżała na wznak, z przymkniętemi oczyma młoda, smukła dziewczyna w lekkiej białej sukni a długi, jedwabisty chart syberyjski rasową mordką dotykał jej jasnych blond włosów, opadających w niesfornych puklach na lekko zaróżowioną twarzyczkę, prawie dziecka.

Wszystko to Jurek wchłonął zachwyconemi oczyma w jednej chwili, stojąc bez ruchu opodal.

— Jaka piękna! Jak obrazek! Niewiedziałem, że kobieta może być tak prześliczna! W Sączu nie było ani jednej takiej! — myślał prawie głośno.

— A jednak — — —

Murzynek też się zapatrzył z rozdziawioną gębą, nie śmiąc przerwać spoczynku swej pani.

I było cicho — i było słonecznie, a w dali widniały zielone gaje palm, pola ryżowe i nieruchome, bezkreśne, senne wody, olbrzymiej rzeki, rozlanej szeroko, niczem jezioro.

Powietrze nagrzane, leżało między niemi, pełne aromatów i drgań niewidzialnych prawie.

Wreszcie służący zrobił parę kroków, chart drgnął i zawarczał, pani ociężale podniosła głowę i otworzyła oczy...

Oczy, takie duże oczy, takie niebieskie oczy, ocienione łukiem długich rzęs!...

Spojrzała na „boya“, a potem na Jurka.

Drgnął, zmieszał się, uczuł, że się czerwieni i miął list bezwiednie w ręku...

— Oczy, te oczy, te niebieskie! oczy!

Skąd ja je znam? Przecież już je widziałem gdzieś? — przemknęło mu błyskawicą...

Nagle natłok tych dziwacznych choć rozkosznych wrażeń przerwany został ostrym, nieprzyjemnym głosem, głosem nawykłym do rozkazywania.

Mały negr podbiegł przerażony i wręczył jej list Jurkowy, głową dotykając kamieni.

Ostremi pazurkami rozdarła kopertę, przebiegła szybko pismo oczyma, a w miarę czytania rysowała się na jej pastelowej twarzy zdziwienie, radość, niepewność a potem — potem jakby przygnębienie, strach.

Podniosła się wreszcie na łokciu, uważnie przypatrując się sylwetce chłopca, który w białym swym ubraniu odcinał się dorodny i wysmukły na ciemno-zielonem tle żywopłotu.

A on? Stał ciągle wyprostowany, jeno hełm korkowy zdjął machinalnie z głowy a wiatr rozwiewał mu gęstą płową czuprynę.

Wir-war skrzydlatych, pstrych świetlików tańczył mu sarabandę pod ściśniętą czaszką.

Był sam, murzynek znikł.

Kilkanaście metrów piasku, powietrza i złotych promieni dzieliło ich jedynie.

Pani patrzyła długo, wieczność całą, (zdawało się chłopcu) nie mówiąc nic, on też nie śmiał i nie wiedział, czy i jak się odezwać.

Potem ona spuściła głowę i ukryła ją w miękkich fałdach rękawów.

Chart przysiadł na tylnych łapach, patrząc to na niego, to na nią, dużemi wilgotnemi oczyma.

Milczenie przerwał nagle słodki głos z terasy, dźwięczny niby dzwonek, jakże różny od gniewliwego tonu angielskich słów, rzucanych biednemu murzynkowi.

Mówiła po polsku, bezbłędnie prawie, akcentując tylko twardo, z angielska końcówki.

— Pan Polak? Czy to być może? Tutaj? Nad Eufratem? Proszę, niech pan podejdzie bliżej! Co za spotkanie!

A gdy Jurek zwlekał — zerwała się szybko i podbiegła ku niemu lekko i z wdziękiem.

Nie, nie była bardzo duża, raczej mała, ot, tak — średniego wzrostu.

Powiewna sukienka, niby biały ptak fruwała wokół niej.

Jedną ręką zdobną w ogromny brylant pierścienia, przytrzymywała rozlatujący się puch włosów, drugą wyciągnęła ku chłopcu.

Chart, zwolna kiwając ogonem podążył za nią, obwąchując z niedowierzaniem obcego.

Żołnierzyk podniósł oczy. Była tuż koło niego.

Nie, to nie dziewczyna, to kobieta w pełni urody, sił, życia.

Chociaż... co znaczy ta zmarszczka od ust ku dołowi, smutna, zła?

Tak niestety zbliska starszą wydała mu się o wiele. Tylko ta wciętość kształtów, ta elastyczna pierś, rysująca się pod rozchyloną tkaniną sukni, te młodzieńcze, żywe ruchy.

Białe perły na szyji, w broszce na piersiach i w różowych uszkach...

Wzięła go prosząco za rękę i pociągnęła za sobą.

— Proszę, niech pan wejdzie! Cóż to? Boi się pan mnie? Bardzo proszę!

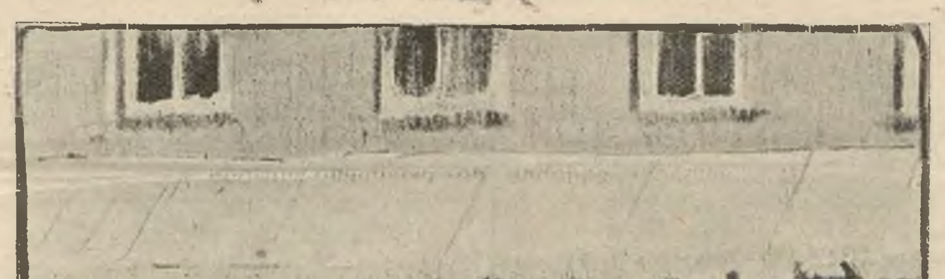
Szedł za nią, aż do mrocznego wnętrza chłodnej sali, też pełnej dywanów i wschodnich obić.

Wokół biegły marmurowe gzymsy a w tylnej ścianie ciemny posążek Buddy oświecała tajemniczo opalowa lampa.

Usiadła na niskim taburecie, a jemu podsunęła drugi.

— Niechżesz więc pan opowiada. Skąd się pan tu dostał? Jakim cudem?

— Ja jestem dezerterem z armji austrjackiej. Przeszedłem, pani, całe piekło udręczeń!



Na szerokiej terasie, na miękkim szezlongu leżała młoda dziewczyna...

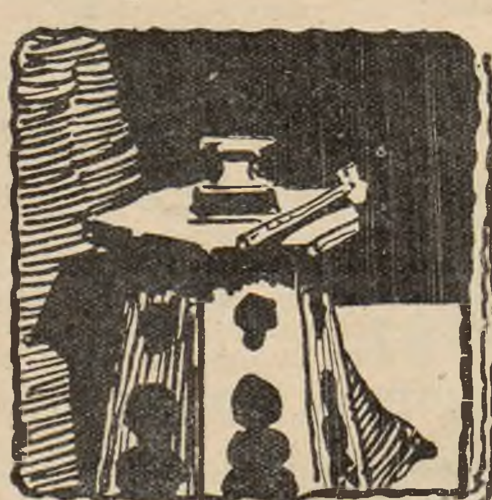
— Biedny chłopak! Więc pan uciekł od nich? Sam jeden?

— Nie, było nas trzech. Dwóch zostało po drodze. Ja jeden dotarłem do angielskich placówek. Bezprzytomnego znaleźli mnie Arabowie, z plemienia Oman, sprzyjającego Anglikom, w pustyni Nefud i jako jeńca przywieźli do El-Djaliba, na kwaterę brytyjskich wojsk.

— W pustyni El-Nefud? I pan się nie bał zapuszczać w te śmiercionośne obszary?

— Cóż zostawało mi innego? Wolałem śmierć z ręki natury, niż pastwienie się austrjackich zbirów!

— Dzielny malec — szepnęła bezwiednie i objęła go ciepłem, przyjaznem spojrzeniem. — Ale napije się pan kawy? Co? dobrze? Może sorbetów też? Pewnie pan nie kosztował wschodnich przysmaków?



Srebrnym młoteczkiem uderzyła w maleńkie kowadełko, stojące na masą perłową inkrustowanym stoliczku i wydała potrzebne rozporządzenia wylękłej służbie, znów tym władczym, świszczącym głosem.

A zwracając się do chłopca, po polsku, miękko:

— Widzi pan, muszę trzymać krótko tych drabów, inaczej wyrośliby mi ponad głowę. Mój kuzyn, lord Cecil, z którego gościny korzystam, specjalnie mnie o to prosił. On jest wojennym gubernatorem Basry i ciągle w rozjazdach. Czasem tylko wpada na krótko do domu. Mnie zaś trzymają tu z obowiązku — dodała, spuszczając skromnie głowę. — Mam pod sobą szpital Czerwonego Krzyża. Pragnę bodaj w ten sposób dopomódz biednym, walczącym za nas żołnierzom.

Ale — otóż i kawa! Proszę, niech pan pozwoli! Niewiem, czy będzie smakować? To na sposób turecki. A może coś słodkiego? Czy też papierosy?

Wyciągnęła ku niemu wąską złotą papierośnicę, a gdy ruchem głowy podziękował, długiemi, różowemi palcami nerwowej ręki wzięła papierosa do ust i otoczyła się sinym kłębem dymu.

Umilkła, zapadła się jakby w siebie, ramiona zwisły jej bezwładnie.

— Ależ ona mogłaby być moją matką! — przemknęło mu przez głowę.

Przypatrywał się jej coraz uważniej, oczyma jak szpieg badał jej twarz.

I dostrzegł cienie i woreczki pod oczyma, jak u ludzi cierpiących na bezsenność — czy też oddanych złym nałogom, dostrzegł żółtawe plamy na skroni i jeszcze więcej zmarszczek koło ust, brody.

Jednak, mimo to podobała mu się niesłychanie, był dziwnie podrażniony jej obecnością, coś go ciągnęło ku tej białej, wiotkiej damie, a równocześnie słabiuchny wewnętrzny głos ostrzegał go przed nią...

Nagle drgnęła, wyprostowała się, otworzyła oczy...

On ją gdzieś już widział! Ale gdzie? Ale kiedy? — męczyło go bezustannie.

Na twarzyczkę lady Woorm wypełznął znów dziecinny, dobry uśmiech.

Znowu miała nie więcej jak dwadzieścia kilka lat.

I ponownie czar działać począł.

Jurek drżał, płonił się jak panienka.

A ją to bawiło, pochlebiało.

— No cóż, mój młody przyjacielu, nie smakują słodycze?

— Owszem, doskonałe! Ale ja nie mogę tak dużo...

A potem:

— Pani wybaczy, ja mam prośbę... Czy ten pan, co mnie tu przysłał nie wspomniał o niej w swem piśmie?

— A tak! Panu chodzi o list, do matki zdaje się?

— Do mojej biednej matki, która tam ginie z niepokoju za mną, w dalekiej Polsce! Ja go już napisałem, mam przy sobie, a pani podobno mogłaby go wysłać? Czy to prawda? Ja pani tego do śmierci nie zapomnę. A ona też!

— Pańska matka?

— Tak, najlepsza ze wszystkich matek! Ona tylko dla mnie żyje! Ona wdowa, sama jedna, w maleńkiem miasteczku galicyjskiem. Może pani je zna? Pani była u nas?!

— Tak, przed wielu laty! Biedny ten wasz kraj, smutny, ale piękny i ludzie w nim dobrzy.

— To może pani bodaj słyszała o tej górskiej mieścinie, nad Dunajcem? U nas, w Sączu, bardzo ładnie?

— Gdzie pan powiada? — krzyknęła nagle, znów tym nieprzyjemnym ostrym głosem.

— W Sączu! — powtórzył zdziwiony Jurek.

— A jakież właściwie pańskie nazwisko?

— Ach, prawda, nie przedstawiłem się. Przepraszam! Ale w tych austrjackich szeregach, to wszystkiego człowiek się wyzbył. Ja, ja... naprawdę przepraszam.

— No więc? — pytała zniecierpliwiona — pan się nazywa?!

— ...Jerzy Mokrzycki, proszę pani.

— Jerzy... czy ja śnię? — Mój Boże! Jerzy Mokrzycki?

— No tak!

— Syn lekarza powiatowego ze Sącza?

— To był mój ojciec, ale umarł!

— Jerzy Mokrzycki, syn jego, ach, tak, ach tak! Mój Boże! Tyle lat! Czy to Nemezis?...

— Co pani?

— Nic, nic, a gdzie ten list?

— Służę!

— Dobrze, dobrze! Czekaj tu na mnie.

Porwała kopertę i wybiegła z ceglastemi wypiekami na policzkach w głąb domu.

Jurek wstał i zdziwiony patrzał za nią.

Został sam, w wielkiej komnacie; nagle, poza nim, ruszyło się coś.

To pies, podszedł ku niemu i łbem ocierać się począł o nogi chłopca. Ten bezwiednie pieścił miękki łeb zwierzęcia, patrząc dużemi oczyma ku zasłonie, za którą znikła. Chwiała się jeszcze.

— Co się jej stało? Nierozumiem! Jaka piękna! Brrr! Tu zimno! A jednak — ja ją już gdzieś widziałem!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

A tymczasem w przyległym pokoju chodziła dużemi krokami lady Berta Woorms, szarpiąc nerwowo białą swą sukienkę na strzępy.

— Znowu powraca do mnie to widmo przeszłości! — myślała głośno.

Wykwintny buduar damy z wielkiego świata dziwić się zdawał niezwykłemu podrażnieniu pięknej swej pani, jej wulgarnym okrzykom, wyrzucanym w przestrzeń od czasu do czasu, jej ruchom gwałtownym, nielicującym zgoła z wytworną sylwetką Lady.

A ona, przystanęła wreszcie przed maleńkiem biureczkiem, jednym ruchem szorstkim strąciła z niego przeróżne ozdobne cacka, które z żałosnym brzękiem tłukąc się, upadły na dywan i otworzywszy tajną skrytkę grzebać w niej poczęła.

I posypały się na ziemię listy, kartki, wycinki gazet, ilustracje z niemem prawie szelestem zżółkłych wspomnień. W tych wyblakłych ćwiartkach zamknęło się całe jej życie bujne i pełne awanturniczych przygód...

Wreszcie z szarej powłoki koperty wydobyła spełzłą fotografję niemodnie ubranego młodzieńca i zaparta łokciami, wpatrywać się w nią poczęła rozpłomienionym wzrokiem. A potem przymknęła oczy.

— Tak, tak, to jego syn, niema żadnej wątpliwości! To uderzające podobieństwo rysów!

A potem wzięła do rąk kartkę zwiotczałą, gdzie z trudem jeszcze tylko odczytać można było niewyraźne, zamazane litery:

„Przybywaj! Dni moje są policzone! Przebaczę Ci wszystko i zapomnę! Potrzebuję Twojej pomocy. Jestem całkiem bez środków. Lada dzień wyrzucą mnie z zajazdu. Sił mi brak, nie mogę pisać więcej! Twój opuszczony — Żorż".

Zwolna wysunęło się z jej sztywnych palców to ostatnie wezwanie konającego, ostatni list — który pozostał bez odpowiedzi...

— Przecież ty zrozumiesz, że nie mogłam! Zaangażowałam się wtedy właśnie do teatru w Hamburgu... — usprawiedliwiała się szeptem przed niewidzialnym cieniem...

— A teraz znów jego syn! I przybywa właśnie w tej chwili, w tych okolicznościach, nie wiedząc o niczem, nie przeczuwając, młodziutki, śliczny, ufny i widocznie nią już oczarowany!

— Przekleństwo! — syknęła — przybywa z poleceniem od tego rudego bydlaka!

Wzdrygnęła się cała i rzuciła przelotne spojrzenie raz jeszcze na szyfrowany list Czecha, leżący na biurku. . . . .

. . . .

„Pozatem posyłam Ci tego małego! Niegłupi, choć jeszcze bardzo naiwny. Możesz z nim zrobić, co zechcesz! A przytem niezwykle odważny. Takiego nam właśnie potrzeba. Trzeba go tylko zręcznie użyć! Mam nadzieję, że zagrasz przed nim wytworną, szlachetną damę — Ty to umiesz przecie doskonale! — Zajmiesz się nim, otoczysz go swoją opieką, jednem słowem, uwikłasz go tak, by był powolnem narzędziem Twojem.

Liczę na Ciebie! Przypuszczam, że mnie nie zawiedziesz! Zresztą mam Cię w ręku!

Przypomnij sobie tylko owo nagłe zniknięcie barona S, w Neapolu! Ja jestem ostrożny, Ty mnie znasz — dowody wszystkie zachowałem do dziś! Poznałaś mnie chyba dokładnie, bodaj na tym przymuszonym odpoczynku naszym w Theresienstadt, cóż? kryminał wtedy damie nie smakował?

Niewątpię jednak, że poczuwasz się do wdzięczności za wydobycie Cię stamtąd?! No, zresztą dosyć wspomnień. — Teraz mówmy o teraźniejszości: Potrzebuję pieniędzy, dużo pieniędzy! Przekażesz mi na Bank angielski, oddział pocztowy w El-Djaliba.

Zresztą w tym miesiącu jeszcze przybędę do Basry. Nudzi mi się tu już siedzieć! Mam pozatem dużo ciekawych wiadomości. Ekscelencja będzie się cieszyć! Trzeba to będzie przesłać. Ale o tem ustnie.

Piękne Twe rączki całuję, choć wiem, że mnie nie cierpisz! Ja Cię jednak zawsze wiernie kocham, gołąbeczko moja!

Tylko Ty nie wierzgaj mi, bardzo Cię proszę — wiesz, że na nic Ci się to nie przyda!

Pobawimy się troszkę razem, jak przyjadę! A pilnuj tego Polaczka! Bądź zdrowa, kochanie..

. . . .

P. S. On Ci będzie dawał listy, Ty jednak nie waż się wysyłać, lecz składaj i dasz mnie, za bytnością moją! Mam pełne zaufanie chłopca i on mi powie ile listów Ci wręczył!

A pismo moje, jak zwykle, zniszcz zaraz!".

(Dalszy ciąg nastąpi).

M. MC. DONNELL BODKIN.

STRZAŁ

4) Przekład z angielskiego.

Wielki pokój był przepełniony, poschodziło się wielu ludzi ze sąsiedztwa, szczególnie dzierżawcy folwarków należących do Berkly i mali sklepikarze z miasteczka. — Na jednym końcu pokoju stał stół, przy którym przewodniczył sędzia śledczy, również nieuniknioony korespondent miejscowego pisma zajął przy nim miejsce. Po prawej ręce stał podwójny rząd krzeseł dla przysięgłych.

Ci właśnie wracali z oględzin zwłok, gdy na dworze, w alei rozległ się turkot kół i lekki, dwukonny wózek zajechał przed główną bramę.

Zaraz potem wszedł do pokoju okazały mężczyzna o wojskowej podstawie, prowadząc pod ramię młodą pannę, którą usiłował podeprzeć ze wzruszającą troskliwością. Twarz panny była blada, ale niezmiernie milutka, była podobna do różyczki polnej i miała sarnie oczy.

Że jest to pułkownik Peyton z córką, o tem wiedział Beck, nie potrzebując się nikogo pytać. Widział nieśmiałe, pełne miłości i współczucia spojrzenie. które młoda panna, przechodząc mimo stołu, rzuciła przelotnie na Johna Neville'a, siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Mina detektywa stała się przez jedno mgnienie oka ponura, jak gdyby powziął jakieś nieugięte postanowienie, ale natychmiast przybrał znowu zwyczajny pogodny i dobroduszny wyraz twarzy.

Sędzia śledczy przesłuchał krótko ogrodnika, leśniczego i kamerdynera, poczem adwokat Waggles, którego Eryk przezornie prosił o obronę dla brata stryjecznego, zadał im jeszcze szereg pytań krzyżowych, wcale niezręcznych.

W miarę jak podejrzenie przeciw Johnowi Neville stawała się powoli straszliwą pewnością, młoda panienka, siedząca w najdalszym kącie pokoju bladła coraz bardziej. Gdyby ojciec nie był jej podparł, byłaby padła zemdlona.

— Czy John Neville życzy sobie przesłuchania? — spytał sędzia, spisawszy zeznanie służącego co do kłótni ubiegłego wieczoru.

— Nie — odparł adwokat. — Zastępuję pana Johna Neville'a. Zastrzegamy sobie obronę.

— Rzeczywiście nie mam nic więcej do powiedzenia ponad to, co już zeznano — dorzucił spokojnie John Neville.

Waggles zaprotestował urażony.

— Panie Neville, muszę pana prosić, żeby mi pan swoją obronę powierzył całkowicie.

— Eryk Neville! — zawołał w tej chwili sędzia. — Zdaje mi się, że to ostatni świadek.

Eryk wystąpił naprzód i położył rękę na biblji. Był blady, ale spokojny i przygotowany na wszystko. Szczery ból, który przemawiał z jego czarnych oczu i cichego głosu, wzruszył serca prawie wszystkich obecnych, — prawie wszystkich – z wyjątkiem jednego zimnego obserwatora Becka.

Jego zeznanie było krótkie i jasne. Że jak tylko mógł usiłował bronić stryjecznego brata, to było widać na pierwszy rzut oka. Ale pomimo to, a może właśnie dlatego jego świadectwo straszliwie obciążało Johna Neville'a.

Odpowiedzi na wszystkie pytania potwierdzające winę Johna musiał sędzia śledczy wyciągać formalnie gwałtem z Eryka.

Do najwyższego stopnia niechętnie opowiedział o kłótni, która nastąpiła przy obiedzie poprzedniego wieczoru,

— Czy stryjeczny brat pana był bardzo wyprowadzony z równowagi? — spytał sędzia.

— Chybaby nie był człowiekiem, gdyby go takie wyrażenia nie rozdrażniły.

— Co powiedział?

— Nie mogę sobie przypomnieć wszystkiego co powiedział.

— Czy powiedział do stryja: „No, przecież nie może żyć wiecznie"?

Brak odpowiedzi.

— Proszę odpowiadać, panie Neville! Przysiągł pan, iż powie pan prawdę.

Ledwie dosłyszalnym szeptem nastąpiła odpowiedź:

— Tak!

— Przykro mi, jeżeli to panu sprawia ból; ale muszę spełnić obowiązek. Prawda, usłyszawszy strzał, pobiegł pan zaraz do pokoju stryja — jakie pięćdziesiąt kroków?

— Tak, mniej więcej tyle.

— Kogo pan tam zastał pochylonego nad zamordowanym?

— Brata stryjecznego z wyrazem najgłębszego bólu na twarzy, jak mi się zdawało.

— Czy widział pan jeszcze kogo?

— Nie!

— Pański brat stryjeczny jest, o ile wiem, spadkobiercą dóbr Neville'ów, to znaczy, są one obecnie jego własnością.

— Tak, zdaje mi się.

— To wystarczy, Dziękuję panu.

Podczas tych pytań i odpowiedzi, które krok za krokiem zbliżały Johna Neville'a do szubienicy — panowała wśród natłoczonej publiczności pełna oczekiwania cisza. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, zdawało się, że wszyscy głęboko odetchnęli. Naprężone oczekiwanie przeszło, pozostało tylko podniecenie.

Kiedy sędzia skończył przesłuchanie Eryka, Beck zaczął zadawać mu krzyżowe pytania tak, jak gdyby rozumiało się to samo przez się.

— Dlaczego powiedział pan, że *zdaje się* panu jakoby John Neville był spadkobiercą pańskiego stryja? Czy pan tego nie *wie napewno?*

Ale Waggles założył sprzec w.

— Na to nie można pozwolić — zwrócił się do sędziego. — To zupełnie nieformalne. Ten pan nie jest ani członkiem sądu, ani zastępcą prawnym którejś ze stron; nie ma więc tutaj głosu.

Beck sam wiedział najlepiej, że z punktu widzenia prawnego powinien był nie zabierać głosu. Ale jego spokojna pewność siebie i zimna krew, z którą rościł sobie do tego pretensje, sprawiły, że sędzia stanął po jego stronie.

— O ile mi wiadomo — rzekł — został pan Beck wezwany tutaj prosto z Londynu, aby zbadał ten wypadek. Jeżeli życzy sobie zadać świadkowi jeszcze jakie pytanie nie będę mu w tem przeszkadzał.

— Dziękuję najuprzejmiej — odparł Beck sucho. Potem zwrócił się do świadka:

— Czy nie wiedział pan o tem, że John Neville jest najbliższym spadkobiercą zamku Berkley?

— Naturalnie, że wiem o tem.

— A jeżeli John Neville zawiśnie na szubienicy, posiadłość należy do pana?

Grubjańska wyrazistość tego pytania wydała się wszystkim obrażającą.

Waggles zerwel się podniecony z krzesła; ale Eryk odpowiedział również spokojnie jak dotychczas:

— To brzmi bardzo twardo i okrutnie.

— Ale to prawda?

— Temu nie można zaprzeczyć.

— Teraz przejdźmy do czego innego. Czy zbadał pan strzelbę, przyszedłszy do pokoju po dokonaniu morderstwa?

— Wyciągnąłem po nią rękę, ale powstrzymał mnie mój brat stryjeczny. Chciał, żeby w pokoju pozostało wszystko nietknięte; dlatego zamknął drzwi i wziął ze sobą klucz. Później nie przestąpiłem już przez próg pokoju.

— Czy oglądnął pan strzelbę dokładnie?

— Nie bardzo.

— Czy wpadło panu w oczy, że kurki przy obu lufach były tylko do połowy naciągnięte?

— Nie!

— Czy zauważył pan, że na panewce prawej lufy, z której dopiero co padł strzał, brakowało kapiszona?

— Nie!

— Czy nie widział pan również delikatnej linji wypalonej w drzewie kolby, która biegnie aż do prawej panewki?

— Nie!

— Niech pan się dokładnie przypatrzy. Widzi pan teraz tę linję?

— Tak, po raz pierwszy.

— Nie może pan pewnie sobie wytłumaczyć w jaki sposób ona powstała?

— Nie!

— Czy napewno?

— Napewno nie.

Obecni słuchali tych dziwnych, na pozór zupełnie nieużytecznych pytań krzyżowych w niemem naprężeniu, lecz bez najmniejszego zrozumienia.

Odpowiedzi Eryka były zdecydowane i jasne; ale ktoby mu się bliżej przyglądnął, byłby zauważył, że wargi jego drżały i z najwyższym wysiłkiem starał się zachować spokój.

Również i w głosie i obejściu Becka, przy jego całym zewnętrznym spokoju, był jakiś lekki odcień nieprzychylnego usposobienia, który dla świadka był w najwyższym stopniu nieprzyjemny.

— Przejdźmy teraz do czego innego — rzekł Beck. — Gdy pan był w pokoju stryja, zanim padł strzał, czy wyjmował pan jaką książkę ze szafy i położył ją na stole?

— Tego rzeczywiście już nie pamiętam

— Dlaczego wziął pan karafkę z okna i postawił ja na książce?

— Byłem spragniony i chciałem się napić.

— Ale przecież karafka była pełna po brzegi.

— Może chciałem ją wziąć ze słońca.

— Postawił ją pan przecież na stole, gdzie słońce było równie gorące.

— Rzeczywiście, nie przypominam sobie już wszystkich tych drobnostek.

Jego panowanie nad sobą zaczynało go teraz opuszczać.

— Przejdźmy tedy do czego innego — rzekł po raz trzeci Beck. Wyciągnął z kieszonki od kamizelki małe kawałeczki papieru z powypalanemi dziurkami i podał je świadkowi.

— Czy pan może wie coś o *tem?*

Przez jedną sekundę Eryk milczał, jego wargi zacisnęły się kurczowo. Potem dał krótką i jasną odpowiedź:

— Nic a nic!

— Czy kiedy dla rozrywki robił pan próby ze szkłem palącem?

Beck rzucił to na pozór proste pytanie, nagle niby strzał z pistoletu.

— Nie, tego już za dużo! — wpadł mu w słowo Waggles. — Rozprawa sądowa nie nadaje się do takich błazeństw.

— Zdaje mi się, że to pytanie nie ma nic do czynienia z obecną sprawą — zauważył sędzia z lekkim wyrzutem.

— Proszę oglądnąć świadka — odparł ponuro Beck. — Jemu widać to pytanie nie wydaje się zbytecznem.

Oczy wszystkich skierowały się na Eryka. Jego twarz stała się szara niby popiół, usta miał otwarte, strach i groza odzwierciedlały się w jego wzroku.

— Czy kiedy dla rozrywki robił pan próby ze szkłem palącem? — powtórzył niemiłosiernie Beck.

Brak odpowiedzi.

— Czy wie pan o tem, że takich karafek można używać jako wybornego szkła palącego?

Ciągle jeszcze brak odpowiedzi.

— Czy panu wiadomo, że już niejednokrotnie posługiwano się szkłem palącem, aby wystrzelić z armaty lub ze strzelby?

Tu wreszcie skończyło się milczenie Eryka; zda się mimowoli, wargi jego przemówiły. Jego głos miał ostre, twarde, niemal, że nieludzkie brzmienie. Takie dźwięki słyszano pewnie dawniej w sali tortur, gdy męki stawały się nie do zniesienia.

— Ty piekielny psie policyjny! — krzyknął. — Przeklęty — odkryłeś wszystko. Tak, przyznaję się — to ja jestem mordercą!

I padł zemdlony na ziemię.

— A słońce uczyniłeś wspólnikiem swej zbrodni! — rzekł Beck z niewzruszonym spokojem.

KONIEC.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina